ECHO ZŁOTORYI

Nr 6 (182) 2022

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pielgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja

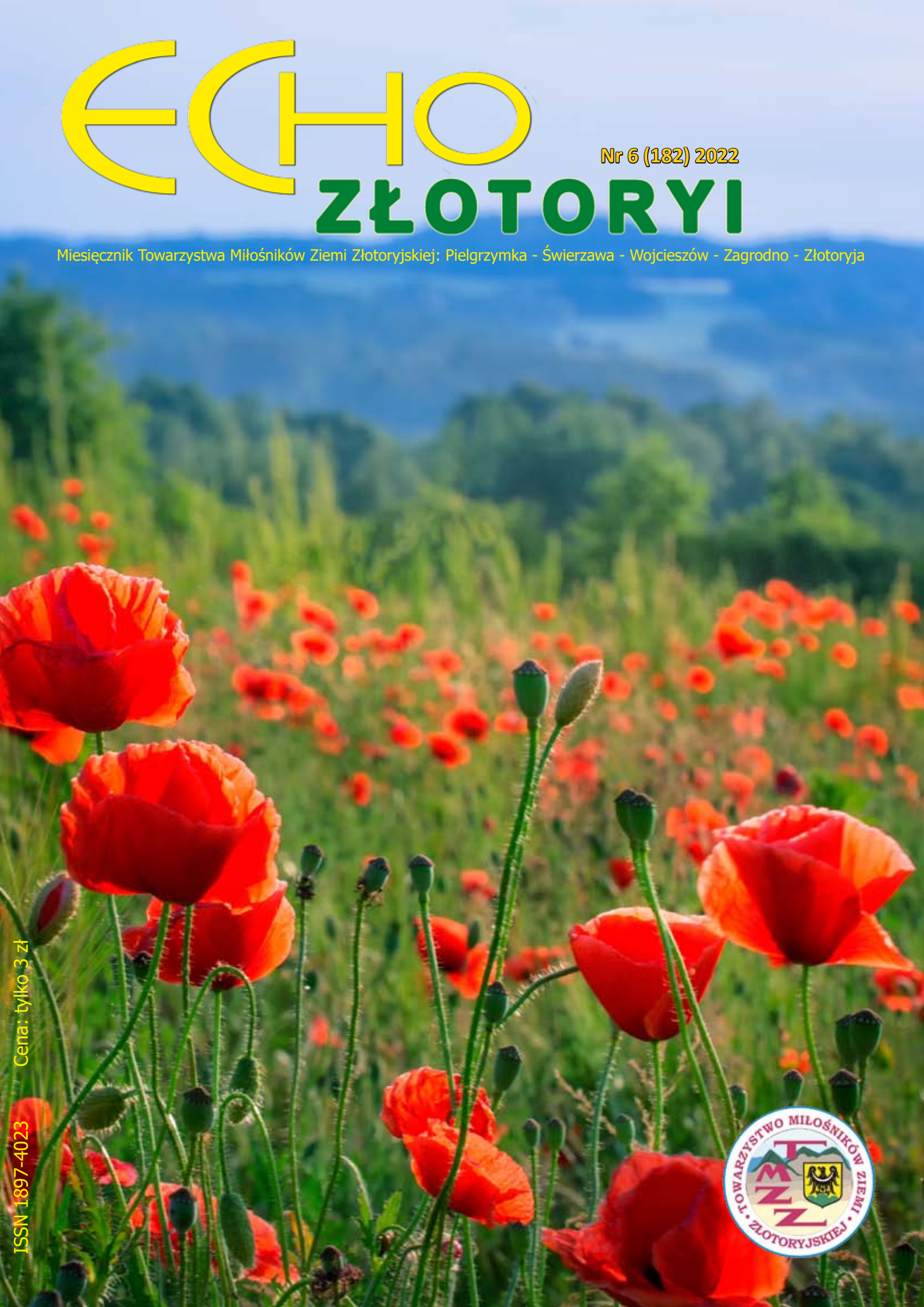

ISSN 1897-4023

Cena: tylko 3 zł

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

Złotoryjski fetysz

Idzie lato, z nim wakacje, czas laby, upału i dorocznego utyskiwania na brak basenu w mieście. To tak przewidywalne jak „Kevin sam w Nowym Jorku" na Boże Narodzenie.

Zwykle najwięcej krzyczą ci, co najmniej znają się na ekonomii, ale za to mają przeświadczenie, że pieniądze im się po prostu należą niezależnie od tego czy pracują czy nie. Krzyczą też ci, co mają trudności w spłatach własnych kredytów i zobowiązań. „Basen ma być, bo co to znaczy, że inni mają, a Złotoryja nie ma!" Nieważne, że do najbliższego kąpieliska jest kilkanaście kilometrów i pół godziny drogi czyli nawet mniej niż w niektórych aglomeracjach przejazd z dzielnicy do dzielnicy. Wydaje się, że brak basenu stał się kompleksem części mieszkańców. Bo co to za miasto, w którym nie ma gdzie popływać. Nieważne, że w innych miasteczkach być może jest basen (nie zawsze rentowny), ale nie ma świetnej hali sportowej czy nowoczesnej bazy lekkoatletycznej. Basen stał się fetyszem i gotowym hasłem dla populistów, którzy chcieliby zarządzać w przyszłości miastem.

I kiedy słyszę te głosy, że przecież basen prawie nic nie kosztuje, bo można zrobić to tanim kosztem, a potem będzie zarabiał sam na siebie i jeszcze pomnażał budżet miasta, to przypominam sobie siebie i swoje pojęcie o ekonomii, gdy zaczęłam samodzielnie zarządzać pieniędzmi jako studentka pierwszego roku polonistyki.

Zostałam wyposażona przez rodziców w pewną kwotę pieniędzy, która miała mi zagwarantować dach nad głową oraz wikt przez miesiąc. W pierwszym tygodniu wydałam prawie wszystko na modne ciuchy, zostało mi tyle, że mogłam kupić bilet do domu i przyjechałam do rodziców z prośbą o dofinansowanie. W kolejnych tygodniach kiedy dalej nie umiałam się powstrzymać przez szałem zakupów – nie tylko ubrań, ale i książek – byłam skłonna w lombardzie zastawić złoty pierścionek.

Na szczęście tego nie zrobiłam, powstrzymał mnie przed tym wstyd i on też sprawił, że zaczęłam rozsądniej gospodarować gotówką, bo miałam świadomość, że kolejna prośba o pieniądze może moich rodziców srogo do mnie rozczarować. Nota bene po latach, kiedy sama miałam już dzieci na studiach, pojęłam, jak bardzo moi rodzice musieli być rozgoryczeni, gdy ich ciężko zarobione pieniądze przepuszczałam z prędkością światła. Tylko wtedy pewnie winili również samych siebie, że zbyt lekką ręką wyposażali mnie w kieszonkowe i dali fałszywe przekonanie, że wszystko mi się należy.

Teraz, choć zdarza mi się być mniej roztropną niż wymagałoby życie i pensja nauczycielki, to jednak mam świadomość, że żeby coś kupić, w coś zainwestować, warto dysponować pieniędzmi, a pieniądze nie biorą się z magii. To tylko dzieciom wydaje się, że wystarczy wstukać kod w bankomacie a gotówka popłynie wartkim strumieniem z niewyczerpanego źródła.

Mam pół wieku na karku i eksperymentalnie zdobytą wiedzę na temat ekonomii. Wiem, co znaczy „winien" i „ma", może dlatego jako mieszkanka miasta wolę remonty dróg lub kamienic, choć mocno dają się teraz we znaki kierowcom, niż zadłużanie miasta, by leczyć małomiasteczkowe kompleksy.

Ludzie, bądźcie mądrzejsi od studentki pierwszego roku polonistyki ☺.

Iwona Pawłowska

Roch Durachta, uczeń klasy 2. złotoryjskiego ogólniaka został wicemistrzem kraju taekwon-do w swojej kategorii wagowej. O drodze do sukcesu opowiada w rozmowie z Iwoną Pawłowską.

Ile czasu zajęło Ci dojście do sukcesu, czyli wicemistrzostwa kraju?

Trenuję już siódmy rok, ale na poważnie o zdobywaniu miejsc w rankingu zacząłem myśleć niedawno. Nie spodziewałem się sukcesu, on przyszedł jakby sam z siebie.

Czyli trenujesz bardziej dla przyjemności niż zdobywania medali?

Zająłem się taekwon-do, bo szukałem sobie zajęcia. Wcześniej trenowałem inne dziedziny sportu. Była piłka nożna, taniec hip-hop, ale taekwon-do wygrało. Czasami żałuję, czasami nie. ☺

Co cię pociąga w tej dyscyplinie?

Pojawiło się w mieście coś nowego, czego postanowiłem spróbować. Poszedłem na zajęcia, żeby zobaczyć i zostałem. Dla ludzi.

Dla ludzi?

Są jak rodzina w tym momencie.

Mówisz o zawodnikach czy trenerach?

O wszystkich.

Kto Cię trenuje?

Mam dwoje trenerów: Karola i Gabrielę Forgielów. Prowadzą nas bardzo dobrze, ale na zawodach to nie wyniki się dla nich liczą, tylko to, abyśmy zdobywali doświadczenie. Trener nie naciska nas, choć czasem w walce, gdy jest sekundantem, to widać nerwy, emocje, ale to służy dobrej sprawie.

Jak liczna jest złotoryjska grupa?

Dość liczna, bo mamy dwie sekcje: Jawor i Złotoryję. Jawor to grupa mniejsza. U nas mamy wiele młodzieży w wieku zawodniczym, ale też dzieci, około 50 osób. Jednak grupa, która jeździ na zawody to około 12 osób.

Taekwon-do to sport czy styl życia?

To bardzo specyficzny styl życia, bo wprowadza dużo zmian. Miedzy innymi związane jest to z kategoriami wagowymi w sportach walki. W moim przypadku, żeby mieć szansę na walkę i sukces w kategorii do 63 kg musiałem bardzo dużo stracić na wadze. Z 70 kilogramów zszedłem do 57.

Jak to się robi? ☺

Jest kilka technik, na przykład bardzo szybka: przed ważeniem zakłada się na siebie wszystkie możliwe ubrania i się biega. Nie jest to zdrowe i przede wszystkim prowadzi do utraty wody. Inną metodą jest ograniczanie jedzenia, czasem przed zawodami nie jadłem prawie nic. Mama się denerwuje jak tak robię, ale mimo wszystko wspiera mnie w moich działaniach.

Ma się wtedy siłę walczyć?

No właśnie… dlatego najlepszą metodą, którą teraz stosuję, jest stopniowa redukcja kalorii. Wtedy siła jest, ale nie ona jest najważniejsza, lecz kondycja.

Jak o nią dbasz?

Oczywiście na treningach. Trening trwa około 4 godzin. Ale staram się ruszać na co dzień i przy okazji, na przykład wracam na piechotę do domu ze szkoły (prawie 4 km).

Kondycja jest moją dobrą stroną. Kiedy rywal po drugiej walce jest już wykończony, ja się dopiero rozgrzewam. ☺

Jak długo trwa walka?

Junior młodszy, czyli od 14 do 16 lat ma minutę walki, junior 1.5, senior 2. To czas rundy.

Niby nie jest to dużo.

Tak, ale jak założy się szczękę (ochraniacz na zęby), to skutecznie odcina się swobodny dopływ powietrza i to jest niekomfortowe oraz wyczerpujące.

Regularnie chodzisz na treningi?

Zazwyczaj tak, ale teraz miałem przerwę, bo po ostatnich zawodach, po łamaniu desek miałem wybity palec, a z tym ciężko się trenuje. ☺

Łączysz bezkolizyjnie treningi z nauką?

Trenowanie zabiera trochę czasu, wyjazdy na zawody też. Czasami nie ma mnie w szkole w piątki, bo wyjeżdżam, albo w poniedziałki, bo jeszcze muszę odpocząć po zawodach. Jednak nauka przychodzi mi dość łatwo, więc nie robię sobie zaległości.

Zdarzyło Ci się wykorzystać umiejętności sztuki walki w sytuacjach podbramkowych, poza zawodami? Oczywiście rozumiem, że etykieta zabrania Ci inicjować walkę, ale bronić się już możesz.

Jeszcze nie było okazji, ale mam taką iskrę nadziei, że być może coś takiego się wydarzy, że wykorzystam w samoobronie te umiejętności. Mógłbym się wtedy przekonać, czy potrafię w innych warunkach walczyć.

Czego poza samą techniką uczą sporty walki?

Przede wszystkim jest to jednak technika: jak się ustawić, jak przyjąć uderzenie, by nie bolało, zachowania w obliczu niebezpieczeństwa. Uczą też dyscypliny, np. trzymanie wagi lub jej zbijanie, motywacji.

Jak przyjąłeś swój sukces?

Skromnie. ☺

Twoi znajomi wiedzą, co robisz?

Czasami opowiadam im o treningach czy historie z zawodów. Kolegę z klasy zaprosiłem na trening i chyba mu się to spodobało.

Budzisz respekt?

Nie sądzę. ☺ Nie chcę, by ludzie patrzyli na mnie przez pryzmat tego, że walczę, ale tego, kim jestem. Na zawodach dobrze jest nie budzić respektu, bo to może uśpić czujność przeciwnika. Częścią walki jest wojna psychologiczna. Jak mój przeciwnik spojrzy na takiego dzieciaka z długimi włosami, który nie jadł nic od trzech dni i wygląda jakby miał zamiar umrzeć, to może się mocno zdziwić, gdy ja wracam z maty zaledwie rozgrzany, podczas gdy on - mój przeciwnik - nie wraca z tej maty. Wtedy siłą rzeczy tworzy się już legenda. ☺

Czyli uprawiasz sztukę kamuflażu? ☺

Coś w tym rodzaju. Po co chwalić się umiejętnościami słowem, jak można to udowodnić.

Zrobiłeś kiedyś komuś krzywdę na treningu lub na zawodach?

Rozcięło się kilka warg… Ostatnio mój przeciwnik przyjął z całej siły kolano w serce i kilka minut leżał. Było mi bardzo przykro, choć to nie była moja wina, bo nawet dostał za to minusowe punkty.

Celujesz w tytuł mistrzowski?

Trener mi powiedział ostatnio: byłeś drugi, pora być pierwszym. Na razie ciągle kończę ze srebrem.

Zatem życzę złota. ☺

Z Rochem Durachtą rozmawiała Iwona Pawłowska

P.S. Kilka dni po naszej rozmowie kolejny zawodnik sekcji, Jakub Serok, zdobył tytuł Mistrza Polski w układach II Dan. Jak widać Sportowa Akademia Taekwon-do to kuźnia talentów.

Wpisana w koło

W czerwcu złotoryjanka Daria Ciemała i legniczanka Aleksandra Fąfara zostały mistrzyniami Polski w akrobatyce sportowej na kole podczas zawodów Mistrzostwa Polski Pole & Aerial – IPSF w Kielcach i jadą na Mistrzostwa Świata w Szwajcarii. O drodze do zwycięstwa opowiada Daria – studentka AWF we Wrocławiu i trenerka grup młodzieżowych.

To były chyba pierwsze tego typu zawody dla Ciebie, bo jechałaś tam jako zawodniczka i trenerka grupy.

Tak. My z Olą jechałyśmy jako profesjonalistki w kategorii artystycznej, a moje podopieczne w konkurencji sportowej jako amatorki.

Czym to się różni?

W konkurencji sportowej są pewne obowiązkowe elementy do pokazania, jest ich 9 (3 elementy na balans, 3 siłowe i 3 na gibkość) i każde są punktowane oddzielnie oraz są tak zwane elementy bonusowe czyli przejścia, spady, przełapania, rollsy…

Czyli?

Wisi się pod łokciami i trzeba się kręcić wokół koła.

Tak wygląda konkurencja dla młodzieży. A Wy co miałyście do zaprezentowania?

W konkurencji artystycznej nie ma narzuconego układu, ani muzyki, ani elementów. Natomiast trzeba opowiedzieć jakąś historię, no i wiadomo: im trudniejsze elementy, tym wyżej oceniany układ.

Jaką historie opowiadałyście?

Byłyśmy Avatarami, budziłyśmy się przy drzewie życia, potem siadałyśmy na nasze koło, które było metaforą smoka, na nim leciałyśmy, zwiedzałyśmy swoją krainę i zasypiałyśmy z powrotem pod drzewem.

Ile trwa taki układ?

Powinien od 3.30 do 4 minut

Jakie elementy były punktowane najwyżej?

Zwracano uwagę na synchronizację przede wszystkim, czy się zgrywamy, czy się nie boimy, czy łatwo się łapiemy no i na trudność elementów. Ola robiła salto z koła (wisiała pod kolanami, miała zrobić zamach i spaść na nogi z koła) i nie mogła wykazać, że się boi.

A widać strach?

Fachowcy widzą ☺.

Ja długo przygotowywałyście się do tego występu?

Pół roku. Bywało, że od rana do wieczora siedziałyśmy na sali. Raz nawet przez przypadek zamknięto nas na noc, bo dozorca nie wiedział, że ktoś ćwiczy o tej porze, czyli o 2 w nocy ☺.

Czy ten sukces jest wymierny materialnie, finansowo?

Niestety, to tylko prestiż. Ale mamy możliwość wzięcia udziału w mistrzostwach świata, choć na to też przydaliby się sponsorzy. Dzięki temu zwycięstwu mamy też większy rozgłos, prestiż dla nas jako trenerek i może częściej też będziemy zapraszane na płatne eventy.

Do Szwajcarii jedziecie jesienią z tym samym układem?

Tak, choć dołożymy coś trudniejszego. Już pracujemy nad tym.

Akrobacja na kole wydaje mi się dość niebezpiecznym sportem.

Tak jest. I dość bolesnym ☺. Zdarzało nam się już ostatnio ćwiczyć z poduszkami na plecach, bo mięśnie i kości nie regenerują się tak szybko, a intensywność treningów była spora.

Masz siniaki?

Tak, siniaki, przetarcia i twardą skórę na dłoniach, twardszą od mojego chłopaka ☺.

Jak wysoko nad ziemią masz zwieszone koło?

Na zawodach nie ma wyciągarki i koło zawieszone jest na jednej wysokości, teraz to był 1,8 m. Na pokazach nawet i na wysokości 10 metrów. Im wyżej, tym bardziej mi się podoba.

Czy podczas zawodów i treningów jest jakieś zabezpieczenie.

Nie ma. Jest tylko materac – airtrack. Na zawodach był bardzo cieniutki i moje dziewczyny bardzo się stresowały podczas treningów przed występem. Do tego stopnia, że spadały z koła.

Komu polecasz ten sport, a kto w ogóle nie powinien o tym myśleć?

Na pewno trzeba mieć łatwe do rozciągania mięśnie, ale nad tym można popracować. Trzeba mieć siłę walki. Budowa ciała nie ma tak wielkiego znaczenia. Wiadomo, że im człowiek szczuplejszy, tym łatwiej mu się podnieść na kole lub szarfie, ale nawet ktoś cięższy, jak ma siłę, też da radę

Im starsza osoba, tym ciężej trenować, szczególnie jeśli chodzi o bardziej dynamiczne układy, aczkolwiek prowadzę też zajęcia z mamami moich podopiecznych i są bardzo zadowolone. Trenują i na kole i na szarfie. Wzmacniają mięśnie, rozciągają się, a przede wszystkim widzą ile siły i energii traci się na zajęciach i już inaczej patrzą na swoje dzieci ☺.

Mówiłaś, że trenowałaś swój układ przez pół roku, to chyba bardzo nużące?

Tak. Dodatkowo powiem, że z dziewczynami ich układ też tyle czasu ćwiczyłyśmy. Ale dla nas to też frajda, bo motywuje nas udział w zawodach. Moje podopieczne już posmakowały tej adrenaliny i chcą trenować i jeździć na turnieje dalej. I już przygotowujemy się do kolejnych zawodów we wrześniu i w grudniu. Pochwalę się, że moje juniorki znalazły się w pierwszej dwudziestce na 70 zawodniczek (wiele z nich już trenuje bardzo długo), a to był ich pierwszy występ na kole przez jury. Trochę było łez, stresu, ale ostatecznie wyszło fajnie.

Jak Ci się pracuje z młodymi zawodniczkami?

Bardzo fajnie, sympatycznie, dziewczyny mnie bardzo lubią, rodzice też. Wszyscy są zadowoleni, że daję im możliwość rozwoju i zabieram na zawody, bo wcześniej tego nie robiły z poprzednią trenerką. Na początku było ciężko, bo trudno było je zmotywować do rozciągania, ono boli, a na zawodach jest w regulaminie zapis, że trzeba się wyginać w drugą stronę, czyli głową do pupy.

Serio? Własną głową do własnej pupy?

Tak ☺ jak się tego nie zrobi, to są mniejsze szanse na podium. Trzeba się zgiąć w pół, a one tego wcześniej nie robiły. A przez pół roku się nauczyły, podobnie jak szpagatów. Ale musiały chcieć, bo są tez takie dziewczyny, które nie czują tego.

Z każdą dziewczyną pracuje się indywidualnie, każdej trzeba wymyślić inny układ, inną piosenkę dobrać, bo dobiera się do prezencji, każda rusza się inaczej, jedne są bardziej dynamiczne, inne spokojniejsze… Na razie mam takich 10, które chcą być w grupie zaawansowanej.

Wracając do waszego zwycięskiego występu, Twojego i Oli, to wiem, że mieszkacie w różnych miastach, jak udało się Wam zgrać treningi, aby ten sukces osiągnąć?

Trenowałyśmy we Wrocławiu. Mój szef zgodził się udostępnić nam salę na Bielanach, mogłyśmy trenować nieodpłatnie, ale Ola dojeżdżała z Legnicy czasami została na kilka dni, na weekendy, bo codzienne dojazdy trochę kosztują. W Legnicy nie miałybyśmy możliwości trenowania, bo trzeba by było płacić za salę.

Oglądałam Wasz występ i jestem pod wrażeniem, jak profesjonalnie to wszystko wygląda. Widać doświadczenie sceniczne i świetną technikę. Ile lat już ćwiczysz akrobatykę.

Od 4 klasy podstawówki, czyli 13 lat.

Czy przez ten czas miałaś jakieś poważne kontuzje?

Na szczęście tylko raz.

I niech tak zostanie ☺. Życzę powodzenia na mistrzostwach świata i myślę, że jak wrócisz, to nam też o nich opowiesz.

Z Darią Ciemałą rozmawiała
Iwona Pawłowska

Kronika

25.05 w Miejskiej Bibliotece Publicznej odbył się „Poranek z poezją”, spotkanie autorskie z Marią Filipowicz.
27.05 w Miejskiej Bibliotece Publicznej odbyło się spotkanie autorskie z Krzysztofem Petkiem, podróżnikiem, detektywem, instruktorem survivalu i pisarzem.
27.05 w Muzeum Złota odbyła się uroczystość wręczenia nagród laureatom konkursu „Piękno zaklęte w wulkanach”.
27.05 w Liceum Ogólnokształcącym Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej zorganizowało spotkanie z prof. dr Georgiem Urbanem ze Stuttgartu pt. „Rola rodziny i firmy budowlanej Urban w historii Złotoryi i Śląska”.
27.05 w ramach Złotoryjskich Spacerów z Historią uczestnicy podążyli „Droga biednego grzesznika. Śladami złotoryjskich więzień”
28.05 w Olszanicy odbył się Gminny Dzień Dziecka ze Strażakami.
28.05 w Hali Tęcza odbyły się rozgrywki piłki ręcznej o memoriał im. Michała Stalskiego.
29.05 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbyło się przedstawienie Teatru Trzech Pokoleń pt. „Urodziny w Nigdylandii”.
29.05 na kortach ZTT odbył się pierwszy mecz w ramach tenisowej LOTTO Super Ligi.
1.06 Złotoryjski Ośrodek Kultury zorganizował w Rynku obchody „Dnia Dziecka”.
1.06 na boisku w Rokitnicy szkoła podstawowa zorganizowała festyn dla dzieci z okazji ich święta.
2.06 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury odbył się wernisaż prac uczestników pracowni rysunku i malarstwa.
3.06 w Leszczynie Fundacja „ANIMUS” zorganizowała 8. edycję Mistrzostw Polski w Płukaniu Złota Osób z Niepełnosprawnością.
4.06 w Złotoryi odbyło się otwarcie parku linowego wokół złotoryjskiego zalewu.
5.06 na Stawie Osadowym odbyły się zawody wędkarskie z okazji Dnia Dziecka o Puchar Burmistrza Złotoryi.
5.06 w Zamku Grodziec odbyły się „Izi Meeting” międzynarodowy zlot motocyklowych podróżników i „Historyczny Dzień Dziecka”.
6.06 ZSZ w Złotoryi zorganizował dla ósmoklasistów warsztaty logistyczne „Logistyka bez tajemnic”.
10 – 12.06 Drużyna Górnika „Oldboys Złotoryja” zajęła 3. miejsce na Mistrzostwach Polski Masters w piłce ręcznej w Kaliszu.
12.06 w Winnicy Wójt Gminy Krotoszyce zorganizował II „Bieg cysterski”.
12.06 w sali ZOK odbyły się taneczne Pokazy Zakończeniowe - SDA Złotoryja & Fundacja TROOD.
17.06 Fundacja Animus wyłoniła zwycięzców konkursu plastycznego „Siła pomagania”.
17.06 w Zagrodnie odbyła się biesiada ludowa „Nad Skorą Śpiewanie”.
17 – 18.06 na kortach ZTT odbył się Ogólnopolski Turniej Klasyfikacyjny Juniorów w Tenisie Ziemnym o Puchar Burmistrza Miasta.
18.06 w ramach cyklu „Najbardziej nastrojowych koncertów w regionie”, w Zamku Grodziec, wystąpił Czesław Mozil.
18 – 19.06 w Wojcieszynie Międzynarodowych Mistrzostw Polski w Płukaniu Złota na Rzece
22.06 w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji miało miejsce uroczyste pożegnanie uczniów klas ósmych Szkoły Podstawowej nr 1.
24.06 w Złotoryi odbył się spacer historyczny „Jedno miasto – dwa narody” w ramach Złotoryjskich Spacerów z Historią.

Opracował Jarosław Jańta

Nie dojdzie cię tu słońce

Etymologia słowa *aleja* wywodzi się z języka francuskiego – *allée*. Oznaczała wyrównaną ścieżkę ogrodową, a potem drogę prowadzącą z rezydencji do ogrodu, wzdłuż której znajdowały się rabaty kwiatowe, rzadziej krzewy lub drzewa. Przez wieki znaczenie tego słowa ewoluowało i obecnie aleja przedstawia zwykle drogę obsadzoną drzewami lub krzewami, ale znane też są aleje traw, aleje pomników, a nawet aleje tornad.

W Europie popularność alei wzrosła w XVIII i XIX wieku. Odkryto, że obsadzenia przy drogach mogą chronić podróżnych przed słońcem, deszczami czy śnieżycami, a w nocy ułatwiać orientację w terenie. Sadzenie drzew przy drogach stało się modne.

Najczęściej zakładano aleje lipowe, bowiem lipa to niezwykłe drzewo. Od wieków była uznawana za symbol łagodności i spokoju. Wierzono, że chroni przed czarami, demonami i urokami. Dlatego posadzone wzdłuż drogi chroniły podróżnych, którzy czuli się pod lipami bezpiecznie.

W okolicach Złotoryi zachowały się dwie takie aleje.

ALEJA LIPOWA W JASTRZĘBNIKU bierze początek przy dawnym majątku i, lekko się wijąc, biegnie na wschód, aby dalej połączyć się z lasem. Nawierzchnia drogi jest gruntowa, ale lekko utwardzona klińcem. Gdy się wejdzie dalej, po jakichś trzystu metrach widać, że na drodze są resztki dużych, płaskich kamieni granitowych, niegdyś zapewne tworzących bruk. Droga jest na tyle szeroka, że obecnie jeżdżą po niej samochody, bowiem to świetny skrót do nieodległego Krzeniowa, a dalej – do Jerzmanic. I w Krzeniowie, i w Jerzmanicach są też ruiny dawnych dworów ziemiańskich, więc można sobie wyobrazić, że dawni mieszkańcy tychże odwiedzali się nawzajem, korzystając z pięknej drogi.

Cała aleja lipowa osiąga długość 700 metrów, a po obu jej stronach w regularnych odstępach rośnie 100 lip, wśród których co jakiś czas pyszni się wyniosły jesion czy rozłożysty platan. Co prawda na początku drogi widać kilkanaście klonów, ale to prawdopodobnie młode samosiejki, najwyżej trzydziestoletnie. Być może lipy wycięto lub same się obaliły.

Wszystkie lipy mają podobny obwód pni, więc na pewno zostały posadzone jednocześnie podczas zakładania alei, przypuszczalnie przez właścicieli majątku w Jastrzębniku. W sieci można znaleźć wzór na obliczenie wieku drzewa: obwód pnia mnożymy przez liczbę 0,4. Nasze drzewa mają obwody 250 - 300 centymetrów, a zatem lipy przy tej alei mają około 120 lat, posadzono je na początku XX wieku. Ponieważ drzewa są wiekowe, to sporo z nich już padło, inne umierają, stojąc. Niektóre zostały strzaskane przez wyładowania atmosferyczne. Świadczą o tym osmalone konary wśród zielonego listowia korony lub samotne, sterczące w niebo kikuty. Zadanie. Być może lipy wycięto lub same się obaliły.

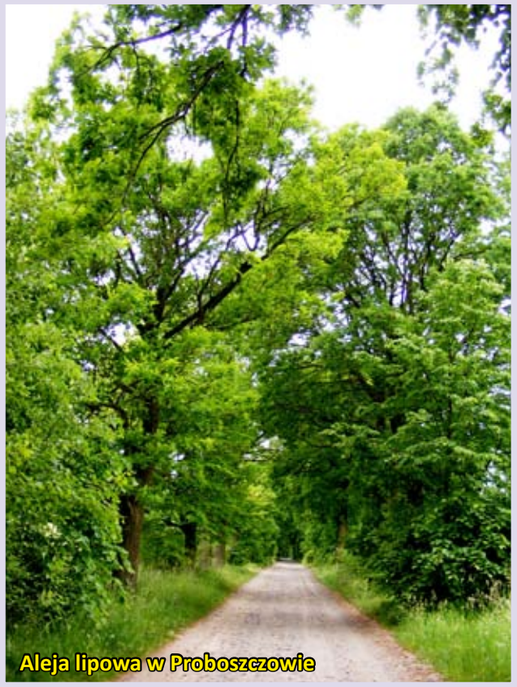

Aleja lipowa w Proboszczowie

Widok z alei na Jastrzębnik i Ostrzycę

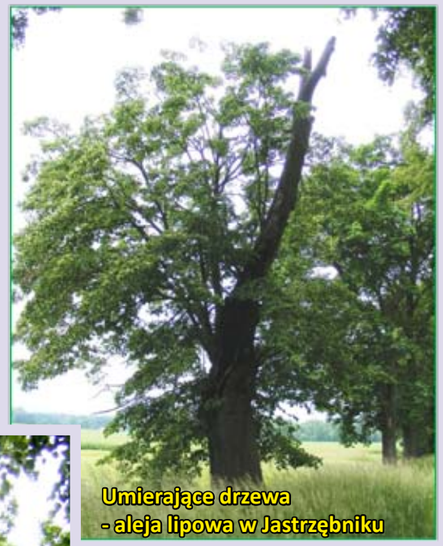

Umierające drzewa - aleja lipowa w Jastrzębniku

je to kłam wierzeniom, jakoby lipy miały być odporne na pioruny.

Wszystkie lipy przy drodze są bardzo wysokie, ich korony wysoko stykają się ze sobą, przez co podłoże pod nimi jest stale zacienione, dokładnie tak jak w słynnej fraszce Jana Kochanowskiego *Na lipę*: „Nie dójdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie”. Ich piękno podkreślają proste pnie, których nie zasłaniają żadne zakrzaczenia. Po obu stronach alei widnieją zielone, szerokie pola uprawne, z których „zawżdy chłodne wiatry zawiewają”. Lipy, co prawda, kwitną głównie w lipcu, ale już na początku czerwca słychać głośne brzęczenie pszczół w najwyższych gałęziach, gdzie zapewne rozkwitły pierwsze kwiaty. Na zachodzie wulkaniczna sylwetka Ostrzycy wznosi się dumnie na tle nieba. Wszystko to sprawia, że aleja jest niezwykle urokliwa, a spacer po niej to fascynujące przeżycie fizyczne i estetyczne.

ALEJA LIPOWA W PROBOSZCZOWIE biegnie cały czas pod górę od wsi aż do wejścia na Ostrzycę, najwyższą górę w okolicy. W drogę skręca się w prawo przy tablicy z napisem Ostrzyca Proboszczowicka, prowadzi nią żółty szlak turystyczny.

Aleja składa się tak jakby z dwóch części. Pierwsza, o długości 800 metrów, prowadzi od boiska do pierwszego parkingu, rośnie przy niej około 130 drzew. Ich średni obwód wynosi 200-250 centymetrów, a zatem, zgodnie z przelicznikiem, te lipy mają około 100 lat.

Druga część alei jest usytuowana między pierwszym a drugim parkingiem, jej długość wynosi około 200 metrów. Tutaj drzewa są bardzo grube, niebotycznie wręcz wysokie, a jest ich około 50 sztuk. Obwód jednej z najgrubszych wynosi 400 centymetrów, a zatem te lipy posadzono w XIX wieku, mają 160 lat! Wysoko w koronach drzew słychać już brzęczenie pszczół, chociaż na wysokości wzroku przechodnia wciąż widać jeszcze niedojrzałe pąki.

Umierające drzewa - aleja lipowa w Proboszczowie

Nawierzchnia drogi jest mocno utwardzona drobnym kamieniem, lecz liczne motocykle, samochody, traktory i inne pojazdy uszkadzają nawierzchnię, tworząc wyrwy i dziury. W rezultacie wędrowiec, zamiast patrzeć w górę i napawać się pięknem lip, musi ciągle patrzeć w dół, aby idąc, nie skręcić nogi. Ponadto rzeczone pojazdy nie dość, że okropnie hałasują, to jeszcze zatruwają atmosferę spalinami. Doprawdy, powinno się zabronić wjazdu pojazdom mechanicznym na tę drogę.

Wszystkie drzewa przy alei lipowej w Proboszczowie są wiekowe, więc wiele z nich umiera. Niektóre jeszcze stoją i walczą, inne dawno się obaliły. W niektórych drzewach utworzyły się ogromne dziuple zdolne pomieścić człowieka. Przyjemności wejścia do takiej dziupli nie mogła się oprzeć autorka niniejszego tekstu.☺

Na całej długości traktu pomiędzy lipami wyrosły inne drzewa i liczne krzewy, co może wpływać na przyspieszoną śmierć lip. Poza tym zakrzaczenia skutecznie zasłaniają pnie drzew i światło pomiędzy nimi. Utrudnia to, a wręcz uniemożliwia podziwianie całego piękna lip wraz z pniami. Po prostu na tej drodze nie widać alei, tylko CHASZCZE. Szkoda, że gmina Pielgrzymka nie dba o aleję tak, by mogła zachwycać swoją urodą. Z przykrością należy stwierdzić, że ta aleja nie jest piękna. Nie jest nawet ładna. Jest jedynie okazała i majestatyczna.

Te gorzkie słowa na koniec są subiektywną oceną autorki niniejszego tekstu. Aby zweryfikować ten pogląd, należałoby udać się na obie te aleje na wycieczkę, aby przekonać się na własne oczy, jak jest naprawdę. Może czytelnicy będą mieli zupełnie inne zdanie?

Obie aleje na własnych nogach przeszła i obfotografowała Agnieszka Młyńczak

Jesteśmy dla mieszkańców

Od czasu do czasu słychać głosy, że Straż Miejska jest w mieście niepotrzebna. Ciekawe jest to, że padają one nie tylko z ust osób, które z jakiegoś powodu zapłaciły mandat.

No bo po co ta Straż właściwie jest? Gdyby ktoś przed rozmową z komendantem zapytał mnie o to, miałbym zapewne nie lada kłopot z odpowiedzią. Lista zadań, jaką dane mi było zobaczyć jest bardzo długa, a obejmuje tylko te czynności, których nie precyzuje ustawa. Są na niej takie rzeczy jak kontrole: legalności zameldowania, targowiska miejskiego, okolic szkół, posesji i strychów, oświetlenia ulicznego, dzikich wysypisk śmieci, nielegalnego poboru energii elektrycznej, stanu rzeki w sytuacji zagrożenia powodziowego, kąpielisk, opłat parkingowych itd. Na liście jest jeszcze ponad 30 pozycji. Mimo to nie dotykają one sedna, ponieważ - jak mówi Jan Pomykała, komendant złotoryjskich strażników - Straż jest przede wszystkim po to, by pomagać mieszkańcom. Pan komendant o swojej służbie opowiedział mi znacznie więcej:

– Złotoryjska Straż Miejska została powołana uchwałą Rady Miasta 15 listopada 1991 r., jako wydział w strukturach urzędu. To częsta praktyka, że w mniejszych miastach nie ma samodzielnych jednostek, tylko wydziały. W 1991 r. przewodniczącym RM był Jan Kusek i to głównie dzięki niemu ta historia się zaczęła. Jako pierwsze zatrudnił dwie osoby z HKL Trawers, Tomasza Dynerowicza i Sylwestera Dorabiałę. Rozpoczęli służbę 1 grudnia 1991 r. W 1992 r. przyszedłem ja i Andrzej Pazera.

Kiedy burmistrzem był Andrzej Czasławski, widząc, że nie cieszymy się dobrą reputacją postanowił ocieplić wizerunek i zatrudnił dwie panie - Elżbietę Kumor i Anetę Sławińską. Burmistrz stwierdził, że kobiety łagodzą obyczaje. I miał rację. Kilka miesięcy później do zespołu dołączył jeszcze jeden mężczyzna, Arkadiusz Gontarek.

Kiedy stan zatrudnienia wynosił 7 osób pracowaliśmy w systemie dwuzmianowym. Od godz. 7:00 do 22:00. Niestety, w 2012 r. 3 osoby musiały odejść i została czwórka, która pracuje do dziś. Przy tym składzie praca na dwie zmiany nie jest możliwa.

Nie zgodzę się ze stwierdzeniem, że skoro jest policja, to SM jest niepotrzebna. Początkowo było mnóstwo obaw ze strony policji, że będziemy zabierać im pracę. Na szczęście w naszym mieście nigdy nie było niesnasek pomiędzy obiema służbami. Po trzech – czterech latach policjanci zauważyli, że zaczynamy ich odciążać, zajmując się drobniejszymi sprawami, które wcześniej zabierały im dużo czasu.

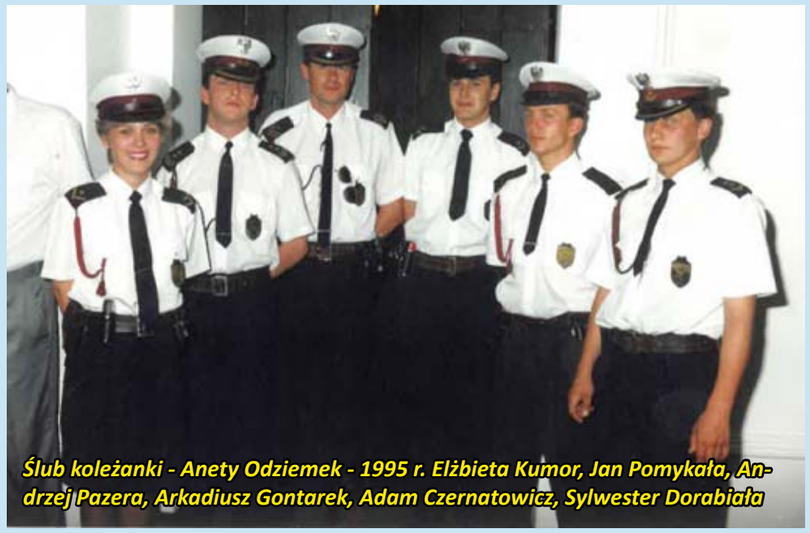

Ślub koleżanki - Anety Odziemek - 1995 r. Elżbieta Kumor, Jan Pomykała, Andrzej Pazera, Arkadiusz Gontarek, Adam Czernatowicz, Sylwester Dorabiała

Aneta Odziemek - 1997 r.

Ważna uwaga – SM została powołana do ochrony porządku i bezpieczeństwa, ale tylko w miejscach publicznych. Nie możemy interweniować w przestrzeni prywatnej. Dlatego nie bierzemy np. udziału w interwencjach domowych (z wyjątkiem tzw. stanu wyższej konieczności).

Początkowo SM w całej Polsce miała złą opinię. Mówiono, że zajmujemy się ściganiem babci za handel pietruszką, ale wynikało to raczej z mało sprecyzowanych uprawnień. Dopiero gdy weszła w życie ustawa o strażach gminnych, uregulowała dużo spraw.

Początki były dla nas trudne również dlatego, że nie mieliśmy się od kogo uczyć. Inaczej jest w Policji, gdzie młodszy stażem uczy się od starszego. Nie uniknęliśmy błędów młodości. Każdy na początku chce się po prostu wykazać. Chcieliśmy pracować, robić porządek. To się odbiło na naszej opinii, że zbyt ambitni, że służbiści, ale przyjmijmy, że uczyliśmy się na błędach. W przeszłości było niejednokrotnie spojrzenie takie, że SM może się samofinansować, ale to nie jest możliwe. Zresztą od władz miasta zależy najwięcej, jeśli chodzi o nasz wizerunek. Obecnie mamy ten komfort, że naczelną zasadą jest to, że my jesteśmy dla mieszkańców. Fałszywe poczucie sukcesu to właśnie wystawianie dużej ilości mandatów, ale osoba ukarana rzadko reaguje zmianą zachowania, skuteczniejsza jest perswazja. Ważne aby osiągnąć cel, a mandaty to nie jest jedyna droga, a na pewno nie najskuteczniejsza. Kara pieniężna jest ostatecznością. Jeżeli pójdę i powiem: „Proszę pana, no niestety nie zrobił pan tak, jak się umawialiśmy" to mandat wydaje się uzasadniony. Jeśli widzę, że stosunek człowieka do danego wykroczenia jest nijaki, lub nawet w ogóle się do niego nie poczuwa, to trzeba zastosować ostrzejszy środek od pouczenia. Ale naprawdę nie dążymy za wszelką cenę do ukarania.

Wprowadziliśmy akcję „żółta kartka", żeby dać czas do przyzwyczajenia się do nowych przepisów, czy nowej organizacji ruchu. Takie ulotki zostawiamy np. za szybą samochodu przez tydzień czy dwa i dzięki temu każdy ma czas na przystosowanie się do zmienionej sytuacji. Nikt nie może później powiedzieć, że nie wiedział. Nie można przyjąć takiego podziału, że policja zajmuje się przestępstwami, a SM wykroczeniami, bo w wielu sytuacjach zatrzymujemy sprawców przestępstw. Niemniej na zatrzymaniu nasza rola się kończy, sprawcę przekazujemy policji, a dalsze czynności prowadzi sąd i prokuratura. Taka sytuacja zdarzyła się kiedyś przy ulicy Solnej. Strażnik, przejeżdżając, zauważył przestępcę duszącego ekspedientkę zerwaną firanką i żądającego pieniędzy. Przestępca został przez strażnika obezwładniony do czasu przyjazdu policji. Podobnie postępujemy z przestępcami poszukiwanymi listami gończymi i sprawcami napadów rabunkowych.

Kilkukrotnie zatrzymywaliśmy złodziei uciekających ze sklepu. Nie mamy broni. Kiedyś, w początkach działalności mieliśmy pistolety gazowe, ale to jest dodatkowy kłopot. Przez te pierwsze lata użyliśmy ich może jeden raz, w czasie nocnej służby. Teraz na wyposażeniu mamy pałki tonfa, kajdanki i gaz. Są to środki w zupełności wystarczające.

Obecnie mamy do dyspozycji nowoczesne centrum monitoringu. Nagrania, w miarę możliwości, przeglądamy każdego ranka. Są nam one potrzebne do dokumentowania wykroczeń. Czasem zdarza się, że pomaga monitoring na posesjach prywatnych - dosłownie na dniach złapany został graficiarz dzięki kamerom na plebanii.

Dostęp do monitoringu ma również policja, ale jego właścicielem jest miasto. To połączenie musiało dojść do skutku, bo przedtem przeszkadzaliśmy sobie nawzajem w pracy. Policja korzystała z naszej pomocy 60 – 70 razy rocznie.

Prawdą jest, że nasi doświadczeni strażnicy, którzy pracują 30 lat mają lepszą orientację niż początkujący policjant. Wielokrotnie się to sprawdziło. Moi koledzy mają takie rozeznanie, że niejednokrotnie wskazują policji sprawców. Poznają ich po ubraniu, po sposobie po-

Arkadiusy Gontarek, Aneta Odziemek - 1993 r.

Elżbieta Kumor, Aneta Odziemek pilnują porządku na Sesji Rady Miejskiej - lata 90-te.

ruszania się, a czasem po samochodzie. Ta umiejętność jest przydatna zwłaszcza, gdy monitoring „nie złapał" twarzy bo kamera akurat się odwróciła. Kilka lat temu mieliśmy obsługę monitoringu całodobową. Współfinansowało ją miasto i Urząd Pracy, ale niestety koszt był za duży do udźwignięcia, bo wymagało to zatrudnienia 5 dodatkowych osób.

Wykroczenia, jakimi się zajmujemy można podzielić na drogowe, związane z bezpieczeństwem i porządkiem oraz związane ze zwierzętami. Dziś tych ostatnich jest zdecydowanie mniej, ale to wynika z wyedukowania społeczeństwa. Chodzi tu o takie zachowania jak pies bez smyczy i kagańca w miejscu publicznym, sprzątanie po psach.

Aktualnie większym problemem są dzikie zwierzęta, które coraz częściej można spotkać w mieście. Podczas jednej z takich interwencji, gdzie na terenie wokół hali przy SP 3 biegało stado dzików, strażnicy zabezpieczyli teren i wspólnie z myśliwymi skierowali stado drogami w kierunku Wilczej Góry.

Zdarzają się też roje pszczół czy szerszeni, zagrażające ludziom. Tu podobnie nasza rola sprowadza się do tego, by takie miejsce zabezpieczyć i powiadomić kogoś, kto je zabierze. Trzeba pamiętać, że w stosunku do dzikich zwierząt ingerencja nie może pójść zbyt daleko, bo to wbrew ich naturze i można niechcący wyrządzić im dużą krzywdę. Jeśli na przykład na terenie miasta znajdzie się dzik czy sarna, to nie łapiemy ich, ale za wszelką cenę „wypychamy" na obszar niezamieszkany.

Czasami dochodzi także do zabawnych sytuacji jak ta, gdy mieszkaniec zadzwonił, że w swoim ogrodzie widział groźnego węża. Wyruszamy na taką bojową interwencję wyposażeni w urządzenie do łapania zwierząt, które zostało nam z czasów ptasiej grypy. Na miejscu okazało się, że to niewinny zaskroniec, którego po schwytaniu wywieźliśmy do lasu.

Wystraszeni mieszkańcy dzwonią do straży miejskiej w przeróżnych sytuacjach, np. że na klatce schodowej znalazł się nietoperz i trzeba go złapać. Ale też zdarza się interwencja w sprawie porzuconego żółwia i nie chodzi tu o małe żółwie wodne, ale o duże lądowe.

Interweniowaliśmy odnośnie zbiegłych koni, owiec, przymarzniętych łabędzi, rannej sowy, czapli a nawet agresywnego szczura. Zajmujemy się bezdomnymi zwierzętami które w ostateczności umieszczamy w Schronisku dla Bezdomnych Zwierząt. Dużo bezdomnych psów dzięki nam znalazło swój kąt bez umieszczania w schronisku.

Mówiąc o porządku mam na myśli tak porządek publiczny jak i czystość. Początkowo wykonywaliśmy robotę typowo policyjną, teraz z kolei mamy bardzo dużo zadań, w których wspomagamy Urząd Miejski. Nie ma w Urzędzie Wydziału z którym nie jeździlibyśmy na interwencję. Z jednej strony służy to ochronie urzędników, a z drugiej wspieramy ich swoją wiedzą. Dla przykładu, Wydziałowi Mienia zawsze towarzyszymy przy wycinkach drzew, eksmisjach, zmianach organizacji ruchu drogowego, kontroli lokali handlowych, gastronomicznych i mieszkalnych. Podobnie Wydziałowi Geodezji - tutaj często uczestniczymy w rozwiązywaniu sporów o miedzę. Wydział Finansów - uczestniczymy w kontrolach, w których ktoś mieszka w domu, a nie zgłosił użytkowania i nie płacił podatków. Niejako przy okazji tego typu działań sprawdzamy poprawność numerów porządkowych na budynkach, lub czy właściciel płaci podatek od psa.

Wydział Spraw Społecznych wspieramy podczas organizacji i zabezpieczenia imprez na terenie miasta. Na szczęście coraz mniejszym problemem jest alkohol. W szczytowym okresie rocznie woziliśmy 30 – 40 osób do izby wytrzeźwień. Nie znaczy to, że problem w ogóle jest mniejszy, ale nie ma już charakteru publicznego. Niewykluczone, że jest to efekt nowych nawyków powstałych w czasach pandemii.

Istotnym problemem wciąż pozostają nielegalne kasyna. To sprawa, która wydaje się jednym z tych problemów, których rozwiązania nie widać. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że ich likwidacja nie leży w naszych możliwościach. Jest to zadanie Krajowej Administracji Skarbowej. My raz w miesiącu przeprowadzamy kontrolę umiejscowienia działających kasyn i jej wyniki przekazujemy innym organom. Jedyną korzyścią z tych działań jest istotne zmniejszenie ich liczby, ale sprawa wydaje się być z rodzaju nierozwiązywalnych. Bezsilność organów jest tu niestety widoczna. Z obserwacji wiem, że jeśli akcja likwidacji takiego lokalu dochodzi do skutku i kończy się np. o godz. 18:00, to już o 20:00 podjeżdża ciężarówka z nowymi automatami. Dziś nawet policja nie może nic zdziałać, bo po wejściu do takiego lokalu potrzebny jest fachowiec, który zabezpieczy dowody w postaci danych z samego urządzenia.

Aneta Odziemek , Joanna Salwa

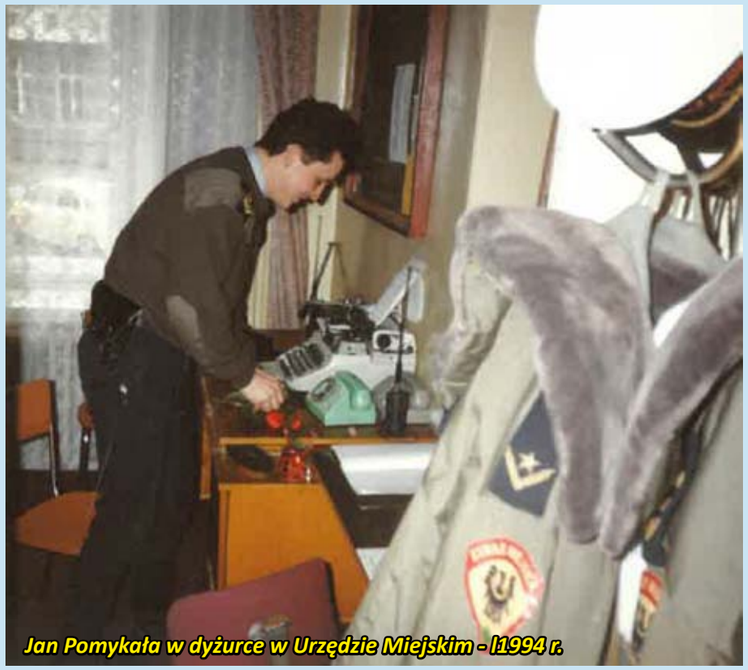

Jan Pomykała w dyżurce w Urzędzie Miejskim - l1994 r.

Na tym tle widać, jak zmieniło się praktyczne zastosowanie prawa na przestrzeni lat. Kilkanaście lat temu taka informacja przesłana do służb zakończyłaby się natychmiastową akcją. Teraz jest dużo więcej ostrożności, bo niestety uprawnienia w czasie interwencji jest bardzo łatwo przekroczyć i zamiast zakończyć problem, można zainicjować dużo większy.

W tej chwili najbardziej pochłaniają nas czynności związane z pobytem uchodźców z Ukrainy. W pierwszym okresie było 800 osób, teraz jest około 400 – 500. Wielu z nich wraca, ponieważ w niektórych rejonach sytuacja się ustabilizowała. Inni przenoszą się do większych miast. Zaczęło się od zabezpieczania konwojów. Do miasta przyjeżdżały ciężarówki z darami, zabezpieczaliśmy wyładunek, pomagaliśmy w przeprowadzkach z SP 1 do lokali mieszkalnych. Byli wśród nich chorzy na covid, którym dowoziliśmy jedzenie.

Do codziennych zadań należą kontrole wniosków o dofinansowanie osób opiekujących się uchodźcami z Ukrainy. Miesięcznie mamy ich około 60. Chciałbym też wyjaśnić, że jeśli chodzi o bezpieczeństwo związane z ich pobytem, to nie mamy żadnych problemów.

Najbardziej utkwiła mi w pamięci interwencja sprzed lat. Mężczyzna po 60. roku życia mieszkał z dużo młodszą kobietą. Znaliśmy go dobrze z wcześniejszych interwencji, bo niestety zdarzało mu się nadużywać alkoholu. Pewnego dnia przyszedł ze skargą, że jest ofiarą przemocy domowej. W mieszkaniu zastaliśmy okna zasłonięte kocami, co już dodawało grozy. Wokół porozrzucane sprzęty. W rogu stała kobieta niewielkiego wzrostu, z czarnymi włosami do pasa, na dodatek w białej koszuli. Obraz jak z horroru. Kobieta była psychicznie chora i właśnie przeżywała atak choroby. Szybko stało się jasne, że nie będzie żadnej rozmowy. Wezwaliśmy pogotowie i Policję. Wraz z dwoma sanitariuszami i dwoma policjantami było nas sześcioro. Nie mogliśmy sobie dać rady z obezwładnieniem tej z pozoru niedużej osoby. W amoku, w jakim się znajdowała, dostała nadludzkiej siły. Z trudem ubraliśmy ją w kaftan bezpieczeństwa.

Kiedy zaczęła się pandemia, wszystko było dla nas nowe. Nałożono na nas dość niewdzięczne, ale konieczne obowiązki. Poznaliśmy co najmniej połowę mieszkańców naszego miasta podczas codziennych kontroli chorych, przebywających w izolacji i na kwarantannie. W sumie podczas pandemii zrealizowano ponad 14 000 kontroli. Myślę, że im podołaliśmy, czego najlepszym dowodem jest podziękowanie, jakie na moje ręce złożył Komendant Powiatowy Policji podkreślając, że współpraca i wsparcie z naszej strony były wzorowe.

Straż Miejska jest potrzebna. Nazywają nas czasem wojskiem samorządowym. Prawą ręką włodarzy miasta. Porządek, czystość, w ustawę śmieciową także jesteśmy wciągnięci. Segregacja śmieci, kontrola powietrza poprzez sprawdzanie, kto czym pali. Konwojujemy pieniądze dla Urzędu. Pomagamy urzędnikom z Urzędu Miejskiego w wielu sytuacjach, takich jak czynności sprawdzające w stosunku do obowiązku meldunkowego, rozpytujemy sąsiadów, potem sprawa kierowana jest do sądu. Obsługujemy i kontrolujemy Strefę Płatnego Parkowania w mieście. Gdyby tymi wszystkimi sprawami miała zajmować się Policja, nie miałaby czasu na zajmowanie się przestępczością.

Jesteśmy służbą mundurową, która wspiera pracę urzędu, a przede wszystkim służy mieszkańcom.

Straż Miejska 2022:
Jan Pomykała, Witold Pięgel, Aneta Odziemek, Andrzej Pazera.

Andrzej Wojciechowski

Tort Jak to się robi?

Z **Kasią Orłowską** spotykam się w majowe piątkowe południe w restauracji „Rynek 42”. Piękna pogoda nam sprzyja, więc siadamy na zewnątrz w ogródku z dobrą kawką i kawałkiem ciasta. Wcześniej się nie znałyśmy, ale od razu „zaiskrzyło” między nami, bo obie pasjonujemy się pieczeniem ciast. Zainteresował mnie temat tortów, czyli to, czym dokładnie Kasia się zajmuje. Do tej pory poszukiwałam inspiracji, oglądając programy telewizyjne: „Dziewczyny z Wypiekami” czy „Bake Off - Ale Ciacho!”. Moja córka pokazała mi stronę Kasi na fb i zachwyciłam się jej **artystycznymi tortami**. Zaciekawiło mnie, jak takie tory powstają i czy każdy, kto lubi piec, mógłby takie cudo stworzyć.

KASIA O SOBIE

W Złotoryi mieszkałam do 13. roku życia, a później przenieśliśmy się do Łukaszowa. Teraz znowu przeprowadzam się do Złotoryi, ale już sama, na swoje. Ukończyłam złotoryjskie LO, chociaż rozpoczynałam szkołę średnią w ZSZ w technikum ekonomicznym. Trzy lata studiowałam we Wrocławiu, ale moje studia nie są powiązane z tym, co teraz robię. Mam skończoną rusycystykę i dietetykę. No, dietetyka trochę jednak się rozmija z tortami. Ale zawsze gdzieś jedzenie było moim największym zainteresowaniem. Bardziej interesowały mnie studia gastronomiczne, ale nie znalazłam odpowiedniego kierunku w Polsce, a nie miałam na tyle odwagi, żeby wyjechać gdzieś za granicę i tam studiować. Jednak studia, które ukończyłam dały mi doświadczenie, a każde doświadczenie traktuję jako życiową lekcję. Nie przypuszczałam, że moja znajomość języka rosyjskiego przyda się teraz do pomocy Uchodźcom z Ukrainy w załatwianiu różnych spraw urzędowych. Z dietetyką obecnie niewiele mam wspólnego, dawno już nie ułożyłam żadnej diety. Jako dietetyczka zdecydowanie stwierdzam, że mniej kaloryczny tort to ten z owocami. Ale tak poza tym uważam, że wszystko jest dla ludzi, ale z umiarem. W wolnym czasie lubię chodzić po górach. Góry mnie bardzo uspokajają i to w górach odpoczywam najlepiej. Uczę się też języka włoskiego i od niedawna gry na gitarze klasycznej. Ostatnio, w związku z urządzaniem mojego nowego mieszkania, polubiłam skręcać meble według instrukcji. Idzie mi to całkiem sprawnie, może dlatego, że nauczyłam się funkcjonować w wyznaczonym porządku i zgodnie z harmonogramem. No i pieczenie tortów też wymaga postępowania ściśle z daną recepturą- tu nie ma mowy o dodawaniu składników „na oko” i według upodobania.

POCZĄTKI

Już w liceum mama postanowiła nauczyć mnie gotować i tak naprawdę, odkąd zrobiłam rosół i naleśniki, pokochałam gotowanie. Tak samo było z pieczeniem, kiedyś upiekłam coś pierwszy raz i bardzo mnie to zrelaksowało. Jak miałam gorszy dzień, to od razu był mikser, piekarnik i pieczenie. Kiedy byłam w liceum, to zwierzałam się mamie, że moim marzeniem jest mieć kawiarnię. Mama nie mogła sobie tego wyobrazić, a już na pewno nie w Złotoryi. Moi rodzice chcieli, żebym poszła na studia. Wtedy nie byłam do końca przekonana, czy kawiarnia to rzeczywiście jest to, co chcę robić i odpuściłam temat. Piekłam sobie w domu, ale nie robiłam nic więcej w tym kierunku. W czasie studiów nie zajmowałam się pieczeniem, ale pamiętam, że któregoś razu, gdy przyjechałam do domu na weekend, upiekłam w jeden wieczór cztery ciasta, bo tak mi tego brakowało. Wypiekami zajęłam się ponownie, kiedy po trzech latach studiów wróciłam do domu na stałe. Robiłam torty urodzinowe dla rodziny i gdy teraz patrzę na zdjęcia tych moich tortów sprzed lat, to wydają mi się takie nieprofesjonalne, ale wtedy mi się podobały. Każdy kiedyś od czegoś zaczynał, a ja nie miałam wtedy tej wiedzy i doświadczenia, co teraz. Nie znałam sposobów na to, żeby tort się trzymał, był ładny i stabilny. Jednak już wtedy wiedziałam, że lubię to robić. To bardzo twórcze zajęcie, które przynosi wiele satysfakcji. **Nie tylko samo tworzenie tortu, ale sam fakt, że można kogoś nim obdarować i uszczęśliwić.**

„Cake My Day”

Na początku traktowałam robienie tortów hobbystycznie, ale moja przyjaciółka bardzo mnie namawiała, żebym ruszyła z robieniem ich na zamówienie. Zaczęłam, więc zajmować się tym profesjonalnie.

Bardzo długo zabierałam się do tego, żeby założyć stronę mojej firmy w Internecie, bo nie wierzyłam, że taka działalność może się rozwinąć. W końcu założyłam fanpage-’a na fb i równolegle na Instagramie. Miałam już trochę zdjęć swoich wyrobów, które mogłam tam zamieścić. Pamiętam, jak odezwała się do mnie pierwsza klientka. Byłam wtedy w szoku, że w ogóle ktoś chce zamówić u mnie tort. To był zwykły tort urodzinowy i miał czekoladowe boki. Postanowiłam więc szybko założyć swoją działalność. W tym samym czasie zadzwoniła do mnie pani, która zajmuje się moimi sprawami rolniczymi i zachęciła mnie do udziału w szkoleniu ze sprzedaży w rolnictwie. Podeszłam do tego sceptycznie, bo pomyślałam, że mnie to nie dotyczy. Jednak okazało się, że to jest właśnie dla mnie. Kilka dni później zarejestrowałam działalność jako rolniczy handel detaliczny. Zgłosiłam ją w Powiatowym Inspektoracie Weterynarii w Złotoryi, bo takie są wymogi, kiedy pracuje się na produktach zwierzęcych, czyli jajkach. Dodatkowo musiałam sobie stworzyć odpowiednie warunki produkcji, takie jak osobne pomieszczenia i chłodnie. To bardzo ważne, bo jednak jest to praca z żywnością i nie chciałabym brać odpowiedzialności, za to że ktoś się, nie daj Boże, czymś zatruje.

Długo też nie mogłam wymyśleć nazwy dla swojej firmy, a bardzo chciałam mieć polską nazwę. Myślałam intensywnie, a wiadomo, że w takiej sytuacji człowiek nic nie może wymyśleć. Nazwa przyszła sama. Siedziałam kiedyś na dworze i czytałam jakiś artykuł w Internecie, zupełnie nie związany z tortami. Zwróciło moją uwagę angielskie zdanie: „Oh my Cake”, wtedy **pomyślałam o idiomie „make my day” (uszczęśliw mnie, zrób mi tę przyjemność). No to przerobiłam go sobie na „Cake My Day”.** Nigdy wcześniej nie spotkałam się z taką nazwą, chociaż dziś już wiem, że istnieje kilka kont w Internecie, które operują taką samą nazwą. Ale to **„Cake My Day”** spodobało mi się bardzo. Żałowałam tylko, że ta nazwa nie jest polska i do tej pory żałuję, ale pogodziłam się z tym.

TROCHĘ MARKETINGU

Na początku sprzedawałam torty, jak się później dowiedziałam, bardzo tanio. Oczywiście nie wiedziałam kompletnie, jak podejść do ich wyceny. Pojechałam więc na szkolenie dotyczące wykonywania tortów. Uczyłam się tam tynkować, dekorować, ale też marketingu i tak naprawdę to właśnie ta część szkolenia dała mi najwięcej. Odpowiadałyśmy na pytanie, za ile sprzedajemy tort z odpowiednią dekoracją, określonej wielkości. Okazało się, że spośród kursantek ja podawałam najniższą kwotę. Zapytano mnie, po co to robię, skoro na tym nie zarabiam? Prowadząca doradziła mi, abym podniosła cenę tortów, nawet kosztem utraty klientów. Zapewniała, że po pewnym czasie przyjdą nowi, którym zależy na jakości, a nie na cenie. Poszłam za jej radą i to się sprawdziło. Podniosłam cenę moich wypieków i część klientów ode mnie odeszła, ale zaczęłam pozyskiwać nowych. Teraz jestem w o tyle komfortowej sytuacji, że ludzie wiedzą, ile moje torty kosztują i stale je zamawiają. Cena tortu zależy od ilości materiału zużytego na dekorację, jego wielkości, różnych dodatków. Taką wycenę sporządzam sobie na bieżąco. Mam bardzo wyrozumiałych klientów, którzy wiedzą, że nie jestem w stanie wykonać tortu taniej niż by może tego oczekiwali. Są świadomi, że ceny się zmieniają, a zwłaszcza teraz, w dobie inflacji. Są tacy klienci, którzy tradycyjnie zamawiają u mnie tort urodzinowy z roku na rok od urodzenia dziecka. Mam ogromną satysfakcję, gdy przysyłają mi zdjęcie solenizanta z tortem. Największą dla mnie nagrodą jest, kiedy ludzie do mnie wracają, jest mi wtedy bardzo miło i czuję satysfakcję. **Cieszę się, że poprzez pieczenie mogę łączyć pasję z pracą zarobkową.** Wiadomo, że czasami mam gorszy dzień, kiedy mi się nic nie chce, ale jak już przychodzi weekend i patrzę na te torty, które już stoją w chłodni, to czuję się szczęśliwa.

CO Z KONKURENCJĄ?

Można się z tego utrzymać. To jest zależne od ilości zamówień. Bywa tak, że mam do zrobienia dwa, trzy torty na weekend, a bywa, że i dziesięć. Złotoryja jest mała i są inne dziewczyny, które robią świetne torty, pracują też cukiernie, w których można je zamówić. Nie stanowimy dla siebie konkurencji. Ja większości tych dziewczyn nie znam, znam tylko jedną, której zawsze, jak nie mam czasu albo mam urlop, podsyłam swoich klientów. Myślę, że jest między nami takie bardziej wsparcie. Wiadomo, że każda z nas ma swoją bazę klientów. Chociaż zdarza się, że klienci przechodzą od jednej do drugiej „torciary” (tak się nazywamy w naszym środowisku). Wiadomo, chcą spróbować czegoś innego i to jest zrozumiałe. Każdy klient wybiera sobie, gdzie chce zamówić tort i absolutnie nie mam takiego poczucia, że ktoś mi podbiera klientów. Teraz jest akurat dobry czas, jak jest ciepło, bo i wesela, i urodziny, i komunie ludzie organizują. Najgorszy okres jest od września do marca, wtedy tych zamówień jest troszkę mniej. Widać to na grupach, jak się dziewczyny żalą, że nie ma tych zamówień za dużo. Siłą rzeczy od 2020 roku, po covidzie, znacznie zmalała liczba zamówień. Wiadomo, jak nie można było się spotykać, to ludzie nie organizowali imprez. Ostatnie dwa lata to był dla mnie trudny okres, ale miałam wtedy też inną pracę, więc brak zamówień nie przeszkadzał mi za bardzo.

MOJA OFERTA

Najczęściej klienci zamawiają torty na 15-20 porcji. Nie robię tortów na kilogramy, tylko na porcje. Przelicznik cukierniczy przy **tortach artystycznych** to 100 gram na osoby.

rać. Poza tym wolę sama je transportować, bo do tego też potrzeba doświadczenia, żeby dowieźć go w całości na miejsce. Osoba, która się tym nie zajmuje na co dzień, nie dałaby rady.

Poza tortami robię jeszcze minisłodkości: minibezy z maskarpone, frużeliną i świeżymi owocami i do tego listek świeżej mięty, cake slice'y, czyli ciasteczka na patyku w kształcie loda. One też dobrze się sprzedają. Do tego w ofercie mam też lizaki bezowe i babeczki tematyczne. Bezę robi się na różne sposoby. Lizak bezowy musi wyjść twardy w środku, a beza Pavlowa ma być chrupiąca na zewnątrz i ciągnąca w środku. W zależności od tego, co to ma być, trzeba wykonać inną bezę. Bezy są najczęściej zamawiane na imprezy typu „baby shower" i o charakterze bardziej spersonalizowanym, jak

bę. Zależy to od tego, czym dany wypiek jest w środku przełożony i ile zużyję materiału na dekorację, więc u mnie tort na 10 porcji waży około 2 kg. W czasach covidu klienci zamawiali przeważnie 10 porcji, wiadomo, podyktowane to było zmniejszeniem limitu osób na spotkaniach czy uroczystościach rodzinnych. Jeśli chodzi o torty piętrowe, przeważnie ślubne, to robię tylko do trzech, bo do trzech pięter można zrobić 120 porcji. Najmniejszy piętrowy to jest 25 porcji. Tort musi być stabilny, zwłaszcza piętrowy. Potrzebne więc są wsporniki wbijane w ciasto, które podtrzymują górne piętra. Robiąc tort, trzeba znać trochę prawa fizyki, wiedzieć, co z czym łączyć, żeby uniknąć katastrofy. Na przykład masa cukrowa nie może dotknąć bitej śmietany, bo te dwa składniki źle na siebie oddziałują.

Torty piętrowe były dla mnie na początku bardzo stresujące. Byłam na szkoleniu, gdzie robiliśmy torty piętrowe grupowo, ale najwięcej mi dało nabieranie doświadczenia w domu. Metodą prób i błędów, oglądanie w Internecie filmików lub podpowiedzi na różnych forach tortowych. Zaczęły mi w końcu te „piętrowce" wychodzić. Torty najczęściej dowożę do moich klientów w Złotoryi. Zwłaszcza „weseliaki" piętrowe, nie wyobrażam sobie, żeby klienci w ferworze organizacji takiej uroczystości mieli jeszcze dodatkowo sami ten tort odbie-

cymi, żeby poszczególne warstwy ciasta się nie rozjechały, zwłaszcza przy tortach wysokich. Zarówno krem, jak i biszkopt nie może być taki, jaki zrobiłoby się po „domowemu". W tym wypadku korzystam akurat ze szkoleniowych przepisów. Zawsze robiłam pulchne biszkopty, takie napowietrzone, bo tak mnie zawsze uczono. Przy domowych niskich tortach jak najbardziej się sprawdzają. Ale teraz wiem, że do wysokiego tortu biszkopt musi być odpowietrzony.

Ja sama siebie nie uważam za artystkę. Nigdy nie miałam talentu, jeśli chodzi o rzeczy plastyczne. Na początku mojej przygody z tortami absolutnie nie chciałam wykonywać żadnych figurek, bo wiedziałam, że tego nie umiem. Robiłam wtedy torty z owocami, czekoladkami. Jednak zamawiający dopytywali się o torty bardziej artystyczne i spersonalizowane. Stwierdziłam, że muszę pójść w tym kierunku, bo jednak najwięcej zamawianych jest tortów urodzinowych dla dzieci. Każde dziecko ma swoją ulubioną bajkę i ulubione postacie bajkowe. Postanowiłam podszkolić się w temacie figurek. Odbyłam dwa szkolenia, które bardzo dużo mi dały. Między innymi „U Misi z Piekarnika" - popularnej „torciary" z Pruszkowa pod Warszawą. Misia umie przekazywać wiedzę i jest bardzo utalentowana. Pomogła mi wyobrazić sobie, jak taką figurkę ulepić. Oczywiście, żeby zaczęły mi wychodzić, musiałam sporo poćwiczyć w domu. Okazało się, że można się tego nauczyć. Dziwię się teraz i uśmiecham, gdy

urodziny. Zamawiane są jako dodatek do tortu. Na wesela nie robię już takich rzeczy jak „słodki stół", bo nie jestem w stanie przerobić już takich ilości. Na każdą osobę trzeba liczyć po 3-4 ciasteczka, a gości jest przeważnie ponad setka, więc musiałoby wyjść tego bardzo, bardzo dużo.

KREMY I DODATKI

Kremy muszą być smaczne i jednocześnie stabilne. Nauczyłam się je robić metodą prób i błędów, bo na początku wcale nie było tak kolorowo. Każdy krem wykonuję inaczej. Jedne są z dodatkiem serka mascarpone, inne ze środkami stabilizują-

słyszę od ludzi, że mam talent artystyczny.

Figurki powstają ze specjalnej do lepienia masy cukrowej. Masę kupuję w sklepach cukierniczych. Muszę wiedzieć na początku, jaka to ma być figurka i w głowie sobie układam jej wygląd. Potem oglądam tutoriale, ale najczęściej korzystam z gotowych wzorów. Robię sobie kulki z masy w różnych kolorach i nadaję im określone kształty. Do tego po-

tów komunijnych i na chrzty zamawiam kłosy pszenicy w jasnym odcieniu. To są elementy, które uzupełniają tort. Wykonywania dekoracji można się nauczyć. Etap dekorowania jest zdecydowanie najprzyjemniejszy w robieniu tortu, wtedy mogę puścić wodze swojej artystycznej wyobraźni. Wydaje mi się, że już sobie wyrobiłam swój własny styl, przez który moje wypieki są rozpoznawalne.

w smakach moich wypieków, wtedy piekę taki tort „testowy" dla rodziny, która mówi, czy jej smakuje, czy coś trzeba by było udoskonalić. Jak coś mi w ogóle nie schodzi, usuwam produkt i wprowadzam coś nowego, obserwując czy się przyjmie wśród klientów.

Do tego pracuję na dwóch biszkoptach, jasnym i ciemnym. W pieczeniu biszkoptów wyspecjalizowałam się do tego stopnia, że nawet, jak mnie ktoś obudzi

trzebuję też odpowiednich narzędzi np. radełek o różnych nacięciach (jest tego całe mnóstwo). Wszystko wykonuję na odpowiedniej macie silikonowej.

Teraz mam dostęp do wszystkich sprawdzonych i wypróbowanych produktów i narzędzi, których się trzymam. Chociaż producenci, np. śmietany, robią mi psikusa i wypuszczają na rynek nową śmietanę, która już się nie ubija tak dobrze, jak wcześniej. Fajne jest to, że ludzie w tym tortowym świecie bardzo się wspierają i informują o różnych „niespodziankach" producentów. Biszkopty wykonuję ze swoich produktów rolnych (mąka, jajka), bo jestem, jak wspomniałam na początku, rolniczką i prowadzę rolniczy handel detaliczny. Z własnych owoców sezonowych robię frużelinę, ale czasem też korzystam z owoców mrożonych. W zależności od rodzaju tortu używam frużeliny albo kawałków owoców.

Do dekoracji tortów używam najchętniej suchych kwiatów, dla mnie one są bardzo urocze. Uzyskuję dzięki nim efekt „boho", który uwielbiam. Do tor-

SMAKI I TEKSTURY

Złotoryjanie przeważnie wybierają torty o smaku malinowym, owoców leśnych (bo są lekko kwaśne) bądź tzw. biały michałek (od znanych cukierków). Te smaki też najbardziej lubię i najczęściej sprzedaję. Klienci pytają też o czekoladowy, chociaż ja już go mniej lubię, bo to jest smak trochę cięższy, bardziej wyrazisty**.** Ważne są też dodatki do tortu, żeby coś pochrupało, coś przełamało smak, dlatego stosuję tzw. chrupki (roztopiona czekolada, migdały uprażone i płatki kukurydziane), uwielbiam też słony karmel jako polewę. Boki moich tortów są zawsze z czekolady białej albo ciemnej (receptura jest moją tajemnicą). Żeby uzyskać pożądany kolor wypieku, do białej czekolady dodaję na przykład niewielkie ilości barwników.

Nie robię tortów z wyszukanymi smakami, bo bardzo by mi to utrudniło pracę. Zabieram się za to, co potrafię zrobić i jestem pewna tego, co robię. Mam swoją listę smaków, którą modyfikuję od czasu do czasu. Kiedy coś zmieniam

o czwartej nad ranem, to zrobię go z zamkniętymi oczami i zawsze mi wyjdzie. Ale prawdą jest, że każdy ma rękę do czegoś innego. **Trzeba włożyć serce w to, co się robi, wtedy na pewno wszystko się udaje.**

MOCNE STRONY

Plusem jest to, że jestem bardzo zorganizowaną osobą. Żyję według kalendarza, wszystko zapisuję, więc nie ma u mnie chaosu, wszystkie czynności są zaplanowane. Czasami zdarzają się nieprzewidziane sytuacje, ale na mnie akurat stres działa mobilizująco i szukam szybko rozwiązania. Z forów znam taki wypadek, kiedy tort piętrowy komuś się złamał, a do imprezy zostały dwie godziny… I trzeba umieć się wtedy odnaleźć i szybko zadziałać. Jeśli chodzi o samo pieczenie i dekorowanie tortów, jak i sztuczki związane z nieprzewidzianymi sytuacjami, bardzo inspirujący jest dla mnie program telewizyjny: „Dziewczyny z Wypiekami".

Beata Jańta

Rodzinne pasje

Moją rozmówczynię poznałam, gdy pomagałam wychowawczyni jej starszej córki w tłumaczeniu ich rozmowy. Już wtedy stwierdziłam, że to bardzo ciekawa postać, trzeba ją poznać bliżej i przedstawić naszym czytelnikom. Była to rozmowa pełna emocji i czasem zakręciła się łza w oku.

Nazywam się Lesa Abramsova. Przyjechałam z dwiema córkami, **Anną** i **Darią**, z Ukrainy, z miasta Apostołowo. Przyjechałyśmy do Polski, bo u nas wojna i trzeba było uciekać ze swojej ojczyzny i szukać schronienia w waszym kraju. Chcę powiedzieć, że kiedy przekroczyłyśmy granicę z Polską, to byłyśmy bardzo zdziwione takim przyjęciem, którego nie zapomnimy. Nigdy nie zapomnę oczu żołnierza, który trzymał małe dziecko na ręku i przekonał nas do pozostania w Polsce. Zachowam w pamięci wszystkich Polaków, którzy przyjęli nas bardzo ciepło. I to uczucie zostanie we mnie na całe życie. W was wszystkich odczuwa się współczucie, chęć pomocy. Dzielicie się wszystkim, czym możecie: duchowym, materialnym, finansowym. Bardzo jestem wdzięczna waszemu narodowi, ludziom – od małego do dużego, od biednego do bogatego za poparcie, życzenia pokoju, za chleb i sól, za ciepły dom.

Wiemy, jak wygląda wasze życie w Polsce (w szkole, w towarzystwie wielu osób), a jak żyliście w Ukrainie?

Jesteśmy zwykłą, prostą rodziną. Każdy z nas jest trochę twórcą. Głowa naszej rodziny, mój Mąż, ojciec moich dzieci – Aleksandr, to twórczy, mądry człowiek. Bardzo lubi drewno i potrafi zrobić z niego wszystko: od łyżki do dużego łóżka (krzesła, ikony, rzeźby Chrystusa). Wykorzystuje każdy kawałek drewna, coś w nim widzi swoją wyobraźnią. Drewno to jego życie, od samego dzieciństwa. Wkłada duszę, ciepło i radość w swoje prace, podarowuje je ludziom, sprzedaje. Mamy jeszcze syna Andrieja (26 lat). Skończył prawo i pracuje w Kijowie w Ministerstwie Sprawiedliwości. Bardzo go kochamy i tęsknimy za nim. Mamy nadzieję na pokój, chciałybyśmy wrócić do domu, objąć Męża (tatę) i synka (braciszka). Wierzymy, że tak się stanie. Myślimy, że te cierpienia się skończą, że Bóg nam pomoże.

Co Pani lubi robić?

Bóg dał mi taki dar, może to talent - do pisania wierszy. W 5. klasie nauczycielka języka rosyjskiego zadała nam do napisania wiersz. Napisałam wiersz o pokoju. Zostałam za to pochwalona i był to początek mojej twórczości. Napisałam wiersze na konkurs do gazety, wysłałam, nie oddali mi ich, ale jak to dziecko nie zwróciłam na to uwagi. W 2016 r. miałyśmy z córkami wypadek samochodowy. Leżałam dwa miesiące w szpitalu i w tym czasie przeszło mi przez głowę całe życie. Zrozumiałam wtedy, że nasze starania o pieniądze i rzeczy materialne nie są takie ważne, jak nam się wydaje. Dziewczynki już od przedszkola marzyły o tańcach (Ania) i śpiewie (Dasza). My pracowaliśmy, nie było czasu na wożenie ich na zajęcia. Po wypadku obiecałam dzieciom, że zajmę się tym, aby robiły to, co lubią, co im w duszy gra. Po powrocie do domu poszłam o kulach zapisać je na tańce i śpiew. Od tej pory zajmuję się ich zainteresowaniami: szyję im stroje, wożę na przeglądy i festiwale. Zagranicę nie jeździmy, bo to za drogo. Dasza od września zaczęła uczyć się jeszcze gry na pianinie. W tym roku mogła jechać do Bułgarii, zaczęliśmy zbierać na to pieniądze. Gdyby nie wojna…

Od wypadku zaczęłam pisać wiersze, na czym mogłam, najpierw na receptach, potem w zeszycie. W 2019 r. pisałam wiersze do szkoły moich dzieci, np. nauczycielka śpiewu poprosiła o dwie zwrotki na temat Ukrainy na występ szkolny. Dasza wystąpiła z tym wierszem na scenie. Potem miałam do napisania dla domu kultury wiersz na koncert online na temat wojny w Afganistanie. Miał być po ukraińsku, ale bez wspominania Związku Radzieckiego. Było to ciężkie zadanie, napisałam 28 zwrotek, tak jak ja widziałam tę wojnę. Wystąpiłam w tym koncercie, na tle obrazów wojny. To było to, co chciałam: znalazłam słuchaczy, ludzi, którzy wierzą we mnie i mi wierzą. Wiele osób tego nie rozumie, śmieją się. To rani… Znalazłam poparcie w domu kultury. Proszą mnie o napisanie wierszy na różne okazje: od 8 Marca do Czarnobylu, protestów na Majdanie (29 zwrotek z podziałem na role). Z tym ostatnim zaproszono mnie i Daszę na festiwal do Dniepropietrowska.

Zawożę dziewczynki na zajęcia i czekając na nie, piszę - po ukraińsku i po rosyjsku, wiersze na różne tematy: o ptakach, przyrodzie, aktualnych sprawach. To moje życie, moje „ja”, moja dusza. Piszę przy każdej okazji, obojętnie, co robię (teraz pomagam w restauracji w kuchni). To daje mi życie i pomaga w trudnych sytuacjach. Piszę, gdy jest mi ciężko, ale też gdy jestem zadowolona. W domu było tak: rano budzimy się, dzieci idą do szkoły, my pijemy filiżankę kawy, Mąż idzie do ogrodu, popatrzeć, co zakwitło, a ja czytam sobie wiersz i coś piszę. Taka poranna gimnastyka… Po wypadku długo nie pracowałam, dopiero zaczęłam krótko przed wojną. Po południu wozimy dziewczynki na zajęcia, wieczorem siadamy w parku na ławce lub w domu i dzielimy się wrażeniami z całego dnia. Dziewczynki, każda w swoim pokoju, tańczą i śpiewają. Ja piszę, Mąż już się do tego przyzwyczaił. Teraz mu nudno, że jest sam w domu, tylko pieski i kotki za towarzystwo.

Jestem zadowolona, gdy ludziom podoba się moja twórczość. Czasem jestem proszona napisać o czyimś synu, wnuczku, wystarczy mi do tego parę zdań o kimś. Wkładam w to swoje emocje. Moje wiersze ukazały się w dwóch książkach, wydanych w Chmielnicku. Jedna z nich ukazała się na Jubileusz 30. lecia Ukrainy, do niej zaproszono pisarzy i poetów, w tym mnie. W domu kultury zaproponowano mi zajęcia w kółku teatralnym. Grałam różne role, nie jestem aktorką, ale w wieku 42 lat znalazłam swoje miejsce. Moje życie zmieniło się, inne wartości stały się ważne. Ostatnio Mąż wyjechał do Kijowa do pracy, zo-

stałyśmy we trzy, dziewczynki pomagały mi, kiedy ja też zaczęłam pracować. Dla mnie najcenniejsze jest wychowanie dobrych, uczciwych dzieci, żeby nie było mi za nie wstyd i były pociechą na starość. Uczymy je z mężem, aby nie zapominały o Bogu, On im podpowie, jak postępować. Pocieszy w smutku i podziękujemy Mu za radosne chwile. Chciałabym być spokojna o ich los. Mój syn jest już dorosły, pomaga nam i podtrzymuje nas na duchu. Zawsze powtarzam, że jeśli dziewczynki wyrosną na takich ludzi, jak Andriej, to będę szczęśliwa. Oboje z Mężem nad tym pracujemy. Uważam, że jeśli mamy dobre, szczęśliwe dzieci, to nic więcej nam nie potrzeba.

Dasza – młodsza córka: Mam mocny głos, zawsze śpiewałam w domu. Chętniej śpiewam współczesne piosenki po ukraińsku, rosyjsku i ostatnio po angielsku, niż ludowe. Bardzo lubię grać na pianinie. Chodzę w Ukrainie do szkoły muzycznej. Gram też piosenki, które zadaje mi nauczycielka śpiewu. Poznaję nuty do nich i gram dla siebie. Tu w Polsce poznałyśmy w kościele starszą panią, która pozwala mi grać u siebie na pianinie. Wspaniały człowiek, czeka na mnie dwa razy w tygodniu. Jest samotna, cieszy się na nasze spotkanie. Gram u niej pod okiem nauczycielki z Ukrainy, która mnie słucha online. Tu w szkole podobają mi się dzieci, nauczyciele, przedmioty i też wszystko jest zrozumiale objaśniane. Bardzo lubię matematykę, biologię, język polski, muzykę, angielski i mojego wychowawcę. Interesuje mnie także nauka anatomii człowieka. W przyszłości chcę być lekarzem pediatrą. Uczę się też pierwszej pomocy. Album anatomiczny pokazałam w szkole jako moją ulubioną książkę. Lubię także rękodzieło, robię różne obrazki, prezenty. Chcę mieć także wykształcenie muzyczne.

Ania – starsza córka: Jeszcze w przedszkolu zauważono, że ja cały czas tańczę**.** Mama nie posłała mnie na taniec, dopiero po wypadku. Gdy tańczę, to nawet nie odczuwam, że coś mnie boli. We wrześniu poszłam do nowego zespołu, po 4 miesiącach tańczyłam w pierwszym rzędzie. Tak kocham taniec, że nie wyobrażam sobie tańczyć z tyłu. Ćwiczyliśmy nowy układ, ale z powodu wojny nie wystąpiliśmy z nim. Lubię taniec nowoczesny, ale tańczę też bez problemu tańce ludowe. Tu w Polsce przyjęto mnie, dzięki pani od wuefu, do szkoły tańca Fundacji TROOD. Jest tu dość trudna choreografia, ćwiczymy Hip -Hop i inne tańce. Mam też drugie hobby: piszę scenariusze do moich wymyślonych seriali. Może kiedyś będę reżyserem, aktorką albo tancerką. Już teraz nakręcam filmiki z moim scenariuszem. Ostatnio myślę także o zawodzie policjantki. Na początku pobytu w Złotoryi bardzo tęskniłam za tatą i bratem. Teraz już przywykłam. Bałam się podróży do Polski. Był problem z dostaniem się do pociągu do Lwowa, straszny tłok. Udało się, ustąpiła nam miejsca kobieta z dzieckiem, usiadłyśmy koło niej. Po odjeździe naszego pociągu bombardowano Lwów. W czasie jazdy musieliśmy wyłączać telefony, gdy strzelali. Na szczęście podróż przeszła bezpiecznie.

Serdecznie życzę pani Lesi i jej córkom powrotu do rodzinnego miasta, spotkania z rodziną, spokojnego życia i oczywiście dalszego rozwijania swoich pasji.

Wioleta Michalczyk

Aleksandr z córkami

Syn Andreij

Moda złotoryjan na przełomie XIX i XX w.

Jak ja kocham stare fotografie…ale jak!!! Jestem w posiadaniu wielu rodzinnych fotografii. Możemy z nich wyczytać informacje o ludziach, o otaczającym ich świecie… Idąc za słowami Karoliny Korwin – Piotrowskiej: „Ludzie na starych fotografiach mają głębię i jakąś myśl w oczach”. Z szacunkiem podchodzono do wykonania fotografii. W odświętnych strojach, z biżuterią i wszelkiej maści akcesoriami chciano podkreślić swój status społeczny. Współczesne zdjęcia tego nie odzwierciedlają, fotografie robione w toaletach, w knajpach, w domu, w pracy, sweet focie… i co? I nic… jakaś taka pustka… może za kilka dekad będą inaczej patrzeć na nie nasi potomni? Może…

Lecz nie o fotografiach chcę dzisiaj napisać (chociaż to też jest dobry temat na łamach naszego miesięcznika) ale o tym, co ludzie nosili, w co się ubierali no i oczywiście jaka była moda naszych goldbergerów w La belle époque, w oparciu o zachowane zdjęcia mieszkańców naszego miasta.

Moda, rozumiana jako tworzenie przez zawodowych projektantów przeznaczonych do powielania i naśladowania wzorów ubioru, narodziła się mniej więcej w połowie XIX wieku, w czasach, które nazywamy Lebensreform (reforma życia) - szeregu zjawisk będących reakcją na epokę przemysłową. Ruch wywodził się z Niemiec i Szwajcarii, obejmował różne zjawiska, takie jak: abstynencja, zdrowa, ekologiczna żywność, wegetarianizm, naturyzm, medycyna naturalna, teozofia, a także reforma ubioru. Związek między tymi ruchami a modą polegał na tym, że były one nagłaśniane przez światłą część społeczeństwa, która usiłowała tworzyć wzorce nowej mentalności dla szerokiej publiczności.

Reforma ubioru nie miała nic wspólnego z modą. Przede wszystkim chodziło o likwidację dziwacznych, kosztownych i niewygodnych części garderoby (głównie damskiej) i zastąpienie ich formami prostszymi, praktyczniejszymi, a przede wszystkim nie szkodzącymi zdrowiu, ale mechanizm upowszechniania musiał być ten sam co dzisiaj.

Ruch, który stworzył tzw. strój reformowany miał nie lada przeciwnika. Był nim angielski projektant zamieszkały od 1846 r. w Paryżu, Charles Frederick Worth, uważany za twórcę znanego nam wszystkim Haute couture. W 1858 r. Ch. F. Worth otworzył w Paryżu pierwszy dom mody Worth et Bobergh i, jak się domyślacie Państwo, odniósł wielki sukces. Jego kreacje, szyte z drogich, ale lekkich materiałów, ozdabiane wzorami kwiatów i cekinami przyciągnęły elegancką publiczność i wkrótce stał się on nadwornym projektantem francuskiej cesarzowej Eugenii (żony Napoleona III) i cesarzowej austriackiej Elżbiety, zwanej "Sisi". Wprowadzono system sprzedaży wykrojów zagranicznym wykonawcom, a na wszystkich strojach Ch. F. Worth nakazał naszywać swoje logo. Zmodyfikował również sylwetkę kobiety, wprowadzając w miejsce krynoliny turniurę, ale z natury był "wielkim krawcem" i uczynił to z powodów estetycznych a nie praktycznych i doprowadził do doskonałości wszystko, z czym mieli walczyć reformatorzy stroju. Od czasów rewolucji francuskiej skończyła się moda na wielkie suknie i fryzury. Jednak likwidacja objętości spowodowała chęć kolejnych eksperymentów modowych i zaczęła być modna wspomniana wyżej turniura – okazały stelaż w kształcie podkowy, który znajdował się z tyłu pod spódnicą, na którym drapowano bajkowo materiał. Początkowo ów wynalazek był sporych rozmiarów i noszenie go przysparzało duże trudności, dlatego nie przyjął się w swojej pierwszej formie. Podobnie jak krynolina, uniemożliwiała nakładanie na suknie cieplejszej odzieży, dlatego zakładano okrycie, które było z przodu dłuższe, a z tyłu oczywiście krótsze. Dało to taki efekt, że z przodu przypominało długi płaszcz, natomiast z tyłu krótki żakiet. Turniury, jak się domyślacie Państwo, deformowały kobiecą sylwetkę cofając biodra, a górna część ciała wysuwała się do przodu za sprawą nieszczęsnego gorsetu. Idealna sylwetka miała przypominać kształtem literę „S”. Turniury z kolei utrudniały poruszanie się z trenem. Ten element stroju nie był obowiązkowy dla małych goldbergerek. A sam gorset stał się symbolem kobiecego zniewolenia. Podnoszono przeciw niemu argumenty polityczne, estetyczne, a przede wszystkim medyczne, uważając go za narzędzie zniewolenia kobiety. I z nim musiały się borykać mieszkanki naszego miasta.

Pierwszą organizacją walczącą o reformę ubioru była założona w 1856 r. w Nowym Yorku National Dress Reform Association, a w Europie angielskie National Dress Society (1881 r.). Towarzystwo to zorganizowało w 1883 r. wystawę prezentującą jak na owe czasy bardzo nowoczesne wzornictwo, którego głównym dorobkiem były tzw. spódnico-spodnie (niem. Hosenrock).

Pod koniec XIX wieku wiele wątków mających początek na Wyspach Brytyjskich podjętych zostało w Prusach! W architekturze ważną rolę odegrał Hermann Muthesius, późniejszy założyciel Werkbundu, natomiast w sprawach ubioru ważną rolę odegrała jego żona, Anna Muthesius. Działania reformatorskie miały konkretne ramy organizacyjne - urządzano sympozja i wystawy, przygotowywano projekty i podejmowano działania popularyzatorskie. Dlatego też w 1896 r. powstał niemiecki Związek dla Ulepszenia Kobiecej Odzieży, w 1899 r. w Berlinie zorganizowano wystawę modeli wzorcowych, a w 1903 r. ukazała się książka Heinricha Pudora „Reforma ubioru. Rozważania o filozofii, estetyce i higienie ubioru”. Praktyczne wnioski z tych rozważań wyciągnęła właśnie Anna Muthesius, projektując tzw. strój reformowany.

W późniejszych latach niepodzielnie królowała secesja. W Goldberg bardzo silny wpływ na nią miała moda zachodniej Europy, której centrum był oczywiście Paryż. Ówczesna pruska prasa kobieca na bieżąco zamieszczała nowinki z dziedziny mody paryskiej, zaznajamiając m.in. goldbergerki z aktualnymi trendami, dyktowanymi przez uznanych krawców. Przyjmowanie tych wzorów przez mieszczanki sprawiło, że na tym terenie noszono stroje zgodne z europejskim kanonem mody.

Stare fotografie goldbergerów z tamtych czasów dają nam wiarygodny przekaz kostiumologiczny. Przy porównaniu strojów na starych fotografiach z interesującego nas okresu, przedstawiających postacie kobiet i mężczyzn, z analogicznymi źródłami z innych krajów europejskich, nie widać specjalnych różnic stylowych w ubiorach. Otóż potwierdzenie tego faktu można znaleźć analizując stroje na zachowanych zdjęciach. Moda panująca w strojach i ubiorach różnych krajów Europy jest praktycznie taka sama jak w Goldberg.

Secesja przedstawiała postać kobiety jako istoty kruchej, wiotkiej, wysmukłej, o sylwetce przybierającej kształt wijącej się łodygi, czy też wygiętej linii „S”. Moda dokładała starań, by upodobnić kobiety do kwiatów lub owadów, odziewając je w lekkie jedwabie o pastelowych kolorach lub w wytworne połączenia czerni i bieli. Specyficzny charakter modnej postaci kobiecej - ową linię wijącej się łodygi - osiągnięto przez zastosowanie odpowiedniego gorsetu krępującego ciało oraz przez krój poszczególnych części stroju. Gorset uwydatniał mocno biust i maksymalnie ściskał talię i brzuch, zatem opatrzony był z tyłu w sznurowanie regulujące szerokość, podkreślał mocno biodra i tył postaci. Kolejne przegięcie sylwetki uzyskiwano przez odpowiedni krój bluzki, podkreślenie talii paskiem i krojem spódnicy w kształcie dzwonu lub w kształcie odwróconego kwiatu lilii. Szyja była całkowicie zakryta wysokimi, stojącymi kołnierzami lub wysokim, usztywnionym fiszbinami kołnierzykiem z karczkiem zwanym szmizetką. Szmizetka zakrywająca dekolt uszyta była z koronki, tiulu lub innej cieniutkiej tkaniny zdobionej pliskami i zakładkami, do mniej lub bardziej wyciętych sukien, zarówno codziennych jak i odświętnych. Przy sukniach naszych mieszkanek królowała misterna koronka, tasiemki, riuszki, wstążki, jedwabne kwiaty – zwłaszcza u tych zamożniejszych.

Przed wyjściem z domu goldbergerki obowiązkowo zakładały kapelusz zdobiony różnie: koronkami, piórami, kwiatami a nawet małymi sztucznymi ptaszkami. W ciepłe dni do kapelusza miały przymocowane woalki, które starannie upinano: jedną nad nosem, drugą nad brodą oraz dwie po bokach. Obowiązkowo dodatkowym atrybutem były ażurowe rękawiczki bez palców oraz irchowy woreczek (kremowy bądź popielaty) z koralikami tworzącymi np. ptasie wzory. Bardzo uciążliwe było tworzenie wyjściowej fryzury, która z założenia musiała być ogromnych rozmiarów. Włosy upinano do góry w okrągły kok na środku głowy, a nad czołem modelowano podwiniętą grzywkę. Ponieważ nie każda goldbergerka miała włosy aż do pasa, stosowano tapirowanie lub pukiel cudzych włosów (postiche) wkładany do wewnątrz koafiury czyli uczesania. Postiche kupowano w goldbergerowskich zakładach fryzjerskich lub na składach włosów, a te znajdowały się w Liegnitz lub Breslau, gdzie najdroższymi były włosy blond i siwe. Cała konstrukcja ufryzowana na czubku głowy nie dość, że była ciężka, to i bardzo często niestabilna. Natomiast po 1908 r. goldbergerki odsłoniły szyję, dotąd szczelnie przykrytą wysokim kołnierzem.

O ile stolicą mody damskiej był w XIX wieku Paryż, o tyle męskiej – Londyn. Anglomania opanowała najpierw Francję, a potem resztę Europy, w tym i Goldberg. Kolory męskiego ubioru pod koniec XIX wieku w przeciwieństwie do czasów wcześniejszych uległy stonowaniu. Obowiązywały brązy, granaty, ciemne zielenie. Jedynie kamizelki były kolorowe (np. żółte jak siarka) lub wzorzyste. Już od połowy stulecia widać w męskiej modzie dążenie do wygody. W tym czasie pojawił się garnitur. Goldbergerzy dbali także o dodatki, jak rękawiczki czy laseczki. Z biżuterii nosili złote, platynowe lub perłowe szpilki, wpinane poniżej węzła krawatu, a także łańcuszkowe dywizki – na ubraniu lub przy zegarku. Na głowie oczywiście obowiązkowo melonik, modny od około 1880 r., a później również panama. Pod koniec XIX wieku goldbergerzy ubierali się w ciemny surdut, koszulę z wysokim kołnierzykiem, spodnie w paski i płaszcz ¾. Całość uzupełniała modna fryzura z charakterystycznym przedziałkiem i wąsik.

Piękna epoka kończy wraz z wybuchem I wojny światowej. Wraz z nią legł ówczesny świat. Okres ten miał stać się przełomem w modzie kobiecej - odzież uproszczono, skrócono i poszerzono spódnice, zrezygnowano z gorsetu, ale to już inna historia…

c.d.n.

Tomasz Szymaniak

https://www.historiasztuki.com.pl/strony/009-02-00-HISTORIA-MODY.html
http://dziedzictwosuwalszczyzny.soksuwalki.eu/spotkania-z-mistrzami/moda-ziemianskomieszczanska-suwalk-poczatku-xx-wieku/
https://historykon.pl/jak-to-bylo-w-xix-wieku-cz-3-dama-modna/
https://www.rp.pl/kultura/art6760351-moda-meska-w-xix-wieku
Boucher F., *Historia mody. Dzieje ubiorów od czasów prehistorycznych do końca XX w.*, Warszawa 2003.
Możdżyńska-Nawotka M., *O modach i strojach*, Wrocław 2002.

Rodzinne tradycje

"Rodzina to niekoniecznie ci ludzie, wśród których człowiek się rodzi. Można ją sobie znaleźć samemu. Tam, gdzie jest bezpiecznie i ciepło. Tam gdzie człowiek czuje, że właśnie tu jest jego miejsce"
JUDY WESTWATER - *DZIECKO ULICY*

Autorka w bardzo trafny sposób dostrzega czym jest rodzina. Owszem, bywa i tak, że rodzina, w jakiej przyszliśmy na świat lub nawet się wychowaliśmy do pewnego momentu - nie jest naszą rodziną bo np. rodzice nam umarli, porzucili nas lub wychowujemy się w domu dziecka. Co wtedy z pojęciem rodziny? Wtedy stają się nią dla nas ludzie, którzy są nam bliscy, krewni lub też osoby całkiem obce, z jakimi nie wiążą nas więzy krwi. W tym sensie można również mówić o rodzinie jako rodzinie, którą tworzymy poprzez szczere kontakty z zupełnie obcymi nam ludźmi. Spotykamy się człowiekiem, który staje się nam bliski i z jakim łączy nas uczucie koleżeństwa lub przyjaźni. O rodzinie w końcu można mówić wtedy, kiedy wywodzimy się ze wspólnego miejsca z tzw. małej ojczyzny. To właśnie ono staje się podwaliną nowej rodziny, której dajemy początek. On urodził się w 1938 r. ja ponad czterdzieści lat później. Nie znamy się w ogóle, jesteśmy innej narodowości, wychowani zostaliśmy w różnych domach, ale łączy nas historia naszego miasta i to daje poczucie pewnej bliskości i w pewnym sensie „więzów rodzinnych".

W piątek 27 maja w naszym mieście zagościł przemiły gość, pan profesor Georg Urban. Jest on rodowitym mieszkańcem Złotoryi. Jak już wyżej wspomniałem nasz gość urodził się w 1938 w Goldberg. Do 1945 r. wychowywał się przy dzisiejszej ulicy Kolejowej 3 (gmach Sądu Rejonowego), wtedy nosiła ona nazwę Mühlberg. Do przodków pana Urbana należało słynne przedsiębiorstwo budowlane Georg Urban, które zostało założone w 1838 r. Urbanowie budowali na całym Dolnym Śląsku. W Goldberg postawili m.in. wspomniany gmach sądu oraz, stojący po drugiej stronie ulicy, budynek Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II czy idąc dalej ścieżką budynków oświatowych – Szkołę Podstawową nr 1 im. Marii Konopnickiej.

Spotkanie obyło się w auli szkolnej naszego „ogólniaka", w której to profesor zabrał nas w sentymentalną podróż do lat swojego dzieciństwa i historii swojej znamienitej rodziny. Przed prelegentem wystąpiła pani Kazimiera Tuchowska – prezes TMZZ, a następnie głos zabrał historyk pan Alfred Michler. Doczekaliśmy się w końcu na wykład profesora Urbana, który tak szczerze mówiąc był mądrą, piękną i wzruszająca, pełną bogatych w anegdoty opowieścią o rodzinie, która budowała nie tylko fizycznie ale i mentalnie historię naszego ukochanego miasta. Słuchacze mogli się dowiedzieć, że Urbanowie przybyli na te tereny ze Szwajcarii, a o majstrach budowlanych, którzy wznosili budowle świeckie i kościelne było słychać już pod koniec XVII wieku. Jednym z członków rodziny był mistrz budowlany Anton Urban, którego syn August

Ludwig, po zdobyciu odpowiednich papierów mistrzowskich, przybył do Złotoryi w 1838 roku. Zakupił działkę budowlaną, gdzie zlokalizował swoją firmę, którą zarządzał aż 47 lat. Z kolei jego syn Georg kierował nią przez pół wieku, a wnuk Gerhard przez 27 lat. Historia się urywa wtedy, kiedy Urbanowie zmuszeni są opuścić swój dom rodzinny i jak miliony Niemców zostali porwani przez wojenną zawieruchę, która naszego bohatera rzuciła aż do dalekiego Stuttgartu. Wystąpienie Profesora urozmaicone było fotografiami i dokumentami z rodzinnego archiwum.

Na zakończenie głos zabrał Starosta Powiatu Złotoryjskiego Wiesław Świerczyński i Burmistrz Miasta pan Robert Pawłowski. Burmistrz pięknie podsumował spotkanie: – bardzo dziękuję panu profesorowi za ten wykład. Na sali znajduje się wielu miłośników historii naszego miasta. Jest tu także moja żona, która jest redaktorem naczelnym *Echa Złotoryi*, na łamach którego co miesiąc sięgamy do przedwojennej historii naszego miasta. I jesteśmy dumni z tej historii. Cieszę się, że pan profesor odbiera nasze miasto jako rozwijające się, gdyż robimy wszystko aby nasza Złotoryja była coraz piękniejsza i aby potomkowie goldbergerów, którzy przyjeżdżają tutaj, byli nią zachwyceni (cyt. za: https://zlotoryjska.pl/aktualnosc-1-6668-rodzina_urban_budowanie_miala_w_genach.html).
Nie sposób w tym miejscu podziękować naszej redakcyjnej koleżance Wioletcie Michalczyk, która pełniła rolę tłumacza symultanicznego, co jak wiemy nie łatwą pracą.
W pojęciu G. Urbana jego Goldberg-Złotoryja jest miejscem, w którym przeszłość, teraźniejszość i przyszłość współistnieją. Myślę, że nie muszę tego komentować…
Panu Profesorowi dziękujemy za ciekawą lekcję historii, zapraszamy w nasze progi przy każdej nadarzającej się okazji.

Tomasz Szymaniak

Na Ostrzycę!

W niedzielne przedpołudnie, 29 maja 2022 roku, grupa nieustraszonych wędrowców – około 100 osób, rozpoczęła swoją przygodę. Impreza miała początek w Pielgrzymce, skąd rodziny z Pielgrzymki i okolic udały się autobusem do Twardocic. Tam, w punkcie zbiórki dołączyły kolejne osoby i rozpoczęło się wspólne wędrowanie. Celem była Ostrzyca Proboszczowicka oraz miejsce grillowe u jej podnóża. Droga niełatwa, szczególne dla małych nóżek, ale nie słychać było żadnego marudzenia. Wytrwać pomogły dwa, wspaniale dopracowane przystanki – lemoniada, kompot i owoce do oporu!!! Pokonaliśmy ponad 5 km. Warto było, gdyż na miejscu czekało wiele atrakcji: kiełbaski z ogniska, potrawy z kociołka i mnóstwo łakoci. Chętni zdobyli szczyt wygasłego wulkanu. Poza tym mieliśmy możliwość obcowania ze zwierzętami – alpakami i końmi (na tych wyższych można było pojeździć) oraz uczestniczyć w zabawach, puszczać bańki mydlane… no i być RAZEM!!!! Rajd dla dzieci i dorosłych z okazji Dnia Dziecka przygotowały wspólnie: Koło Gospodyń Wiejskich „LEJDIS" w Pielgrzymce i Stowarzyszenie Przyjaciół Twardocic.

Katarzyna Urbańczyk

Tajemnice Góry św. Mikołaja

Góra świętego Mikołaja to miejsce, w którym wszystko się zaczęło... Już w średniowieczu powstała tam pierwsza osada górników, kościół, a u podnóża szpital. Teren ten przez lata był eksploatowany przez górników poszukujących m.in. złotego kruszcu, zresztą stąd wywodzi się nasza nazwa. Znaną nam sztolnie prawdopodobnie zaczęto drążyć już w drugiej połowie XVII wieku. W kopalnianych chodnikach można odnaleźć ślady różnych sposobów drążenia, od tych najstarszych aż po technologie górnicze z XX wieku. Wchodząc w głąb góry, możemy poczuć klimat tamtych czasów...

Jak wiadomo, w naszym mieście znajduje się dużo ciekawych i tajemniczych miejsc, ale z pewnością kopalnia „złota" Aurelia należy do najbardziej niezbadanych i skrytych. Niejednokrotnie przechodząc koło kopalni, zastanawiamy się, co skrywają ciągnące się w głąb Góry św. Mikołaja tajemnicze chodniki. Legenda głosi, że tunele łączą się z piwnicami gotyckiego kościoła na cmentarzu, grobowcami oraz z podziemnymi lochami w centrum miasta, ale ile w tym prawdy?

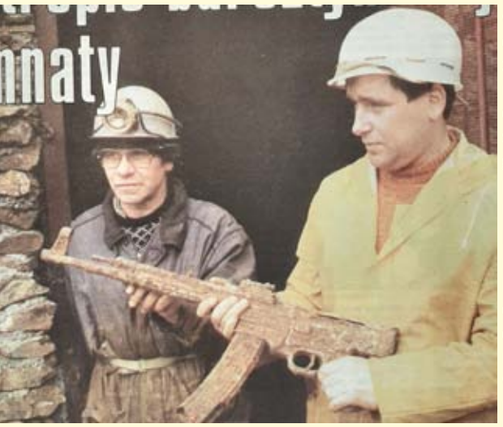

Przed wojną nieopodal kopalni znajdowały się duże zakłady wyrobów filcowych Paula i Maxa Neumannów (obecnie budynki po byłych Złotoryjskich Zakładach Obuwia). Podczas II wojny światowej w fabryce Neumannów utworzono obóz pracy „OPTA RADIO WERKE I" jest to jedna z trzech filii zakładów „OPTY". W obozie tym pracowali Francuzi, Flamandowie oraz Włosi. Fabryka ta była zakładem zmilitaryzowanym dobrze chronionym przez niemieckie wojsko, gdyż produkowano tam m.in. podzespoły do radiostacji dla potrzeb niemieckiego lotnictwa „Luftwaffe" a inni jeszcze mówią o produkcji zbrojeniowej, co jest mało prawdopodobne. Bez wątpienia był to obiekt strategiczny, stąd tak mało informacji ja jego temat...

W lutym 1945 roku, Niemcy w pośpiechu wysadzili część sztolni znajdujących się w Górze św. Mikołaja w obawie przed zbliżającymi czerwonoarmistami. Świadkowie – pracownicy przymusowi z „OPTY" wspominają wybuchy w okolicach „Aurelii". W ukrytych pod zawałami sztolniach prawdopodobnie ukryto srebro używane w produkcji styczników i lamp do radiostacji, a także urządzenia najnowszej generacji, jak na owe czasy. Ile w tym prawdy, nie wiemy... świadkowie już nie żyją a legenda została...

Przez długie lata po wojnie sztolnia była zalana wodą, a wejście nie było zabezpieczone. Starsi mieszkańcy miasta wspominają, jak w dzieciństwie wchodzili do zalanej kopalni z pochodniami, w opowieściach wspominają: „woda była bardzo zimna, a pochodnie gasły, co uniemożliwiało dalszą penetrację tajemniczych chodników". W 1973 roku kopalnia została udostępniona turystom dzięki górnikom z pobliskiej kopalni miedzi „Lena" w Wilkowie, którzy wypompowali wodę ze sztolni, zamontowali instalację elektryczną, zabezpieczyli chodniki oraz wejście, umożliwiając bezpieczne zwiedzanie tajemniczego obiektu.

W 1997 roku podczas prowadzonych prac eksploracyjnych w Aurelii doszło do zapadnięcia się garażu znajdującego się w okolicy cmentarza. Po osunięciu się ziemi odkryto nowy 28 metrowy szyb, który został nazwany na cześć swojego odkrywcy Karola Pawlaczka szybem „Karola". Odkryciem „tajemnic Aurelii" zajął się Klub Eksploracyjny Polskiego Bractwa Kopaczy Złota. Do wnętrza zjechali eksploratorzy z Harcerskiego Koła Lotniczego „Trawers", którzy odkryli trzy odnogi, niestety były zagruzowane... Jak twierdzi Karol Pawlaczek, szyb prawdopodobnie został zasypany w lutym 1945 roku, o czym świadczyć mogą niecodzienne znaleziska: hitlerowski hełm oraz karabinek maszynowy StG 44, który był używany przez niemieckie elitarne jednostki. Fakt ten świadczy o obecności żołnierzy niemieckich w kopalni. Dlaczego pozostawili karabin? Pośpiech? Czyżby chcieli zdążyć opuścić kopalnię przed detonacją ładunku? Tego już się raczej nie dowiemy...

Eksploratorzy Karol Pawlaczek i Stanisław Powroźnik nieustannie badają Górę św. Mikołaja. Podczas poszukiwań terenowych różdżkarz zaznaczył dwa miejsca, w których rzekomo znajdują się kolejne zasypane ziemią tunele... Niestety, nigdy nie podjęto się odkopania tych miejsc. W listopadzie 1999 roku poszukiwacze odkryli kolejną odnogę kopalni „Aurelia". Ukośny szyb był częściowo zasypany i zalany wodą, co uniemożliwiło jego dalszą penetrację... Wejście zabezpieczono czekając na lepsze czasy, które nadeszły po 17 latach...

W 2016 członkowie Stowarzyszenia Przyjaciół Złotoryi AUREUS MONS wraz z pasjonatami górnictwa podjęli próbę rozwikłania kolejnej tajemnicy... Odkrytego przez Karola i Stanisława nowego szybu – złotoryjscy eksploratorzy podjęli się odkopania oraz wypompowania wody z nowego dotychczas niespenetrowanego szybu – ale o tym opowiemy następnym razem...

W jednym z artykułów prasowych autorstwa znanej badaczki tajemnic Dolnego Śląska - pani Joanny Lamparskiej, wspomniano o opracowaniu – przewodniku z 1926 roku, w którym poruszony został temat największej na Dolnym Śląsku sieci podziemnych korytarzy znajdujących się pod naszym miastem - określa się je mianem kretowiska.

Eksploratorzy i pasjonaci nie poddają się i wciąż szukają jakichkolwiek informacji, niczym krawcy szyją patchworkową opowieść ze skrawków materiałów... niestety, nie jest to łatwe, świadkowie nie żyją, dokumentów nie ma... jest tyle niewiadomych, ale się nie poddają... Trzymajcie kciuki!

Przemysław Markiewicz

Bürgerberg Góra Mieszczańska

Początki Góry Mieszczańskiej sięgają przełomu XV/XIV wieków, kiedy wzniesienie nazywano Morderczym Gruntem (Mord Grundt). Wiązało się to z egzekucjami, jakie władze miasta dokonywały w tym miejscu. Wtedy też na zachodnim stoku wzgórza wybudowano murowaną szubienicę i z biegiem lat miejsce to nazwano Górą Szubieniczną (Galgenberg). W tamtym okresie, w związku z charakterem tego miejsca, wzgórze rzadko porastały drzewa, aby miejsce straceń widoczne było z daleka.

Dopiero w 1803 r. nastąpiło regularne zalesianie tego miejsca i wytyczanie ścieżek spacerowych. W 1810 r. dokonano rozebrania resztek szubienicy, a 24 lipca 1816r górę nazwano Górą Mieszczańską, co niewątpliwie wiązało się z coraz częstszym wykorzystywaniem tego miejsca jako celu spacerowiczów.

Okres napoleoński zaznaczył się też na Górze Mieszczańskiej. Słabo wtedy zadrzewione wzgórze było dobrym miejscem na ustawienie artylerii, co wykorzystały wojska rosyjskie w 1813 r. Wtedy - 26 maja i 23 sierpnia rosyjskie armaty ostrzeliwały atakujące wojska francuskie. Ostrzał góry wiązał się między innymi ze stratami w drzewostanie, który szybko uzupełniono.

W 1838 r. miejscowy mistrz murarski- Urban- zbudował na szczycie Góry niewielką restaurację wraz z pokojami gościnnymi. Restauracja ta w 1872 r. spłonęła, ale już rok później została odbudowana. Z tego okresu pochodzi też fontanna z basenem, którego pozostałości możemy do dzisiaj podziwiać. W okolicach restauracji rozmieszczono w cieniu drzew ławeczki. W latach 1873-1874 teren parku był intensywnie zadrzewiany co zawdzięczamy urzędnikowi miejskiemu o nazwisku Locken. Na jednej z widokówek widać postument, który był postawiony na Placu Lockena- być może w podzięce...W miejscu, gdzie stała szubienica zbudowano uroczy pawilon widokowy, z którego można było podziwiać panoramę Złotoryi (Goldberg). Jest on widoczny na widokówce (litografii) w jednym z „okienek".

Góra Mieszczańska cieszyła się dużym powodzeniem jako obiekt spacerów. Pod samą restaurację wytyczoną szeroką aleją można było podjechać dorożką. Co ciekawe- w okolicach ul. Chojnowskiej powstał specjalny przystanek dla pociągów relacji Złotoryja - Legnica (linia została uruchomiona w 1884 r.), który nazwano BURGERBERG (Góra Mieszczańska). Z prezentowanych widokówek widać, jak teren Góry Mieszczańskiej był zadbany i jaką cieszył się popularnością. Na jednym z poniższych zdjęć prezentuję szklankę pochodzącą z restauracji Burgerberg. Na przestrzeni lat jednym z właścicieli był G. Wiedner, co jest ujęte na jednej z pocztówek będących jednocześnie reklamą restauracji.

W okresie I Wojny Światowej (1914-1918) w restauracji stacjonowali żołnierze tutejszego garnizonu. Pamiątką po I WŚ jest obelisk poświęcony mieszkańcom miasta poległym na polach bitewnych. Do chwili obecnej zachowała się zdewastowana bryła pomnika- niestety bez orła i tablicy.

Nieodłącznym elementem Góry Mieszczańskiej jest basen wybudowany w 1887 r. Miał on dwie niecki o wymiarach 22x50 metrów.

Ciekawostką jest, że w pobliżu Burgerberg-na obecnej ul. Karola Miarki, na dużej 25 arowej działce był Dom Starców i przewlekłe chorych KRANKENHAUS. Placówka ta zapewniała miejsce dla 30 pacjentów. Opieka w tym domu była nieodpłatna.

Po 1945 r. restauracja popadła w ruinę i została rozebrana. Park, pomimo zaniedbania nadal cieszy się dużą popularnością wśród mieszkańców.

Piotr Klimaszewski

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

35 Lat 1987 2022

ECHO ZŁOTORYI

ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 35 lat. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej,
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1,
e-mail: [illegible] tel.: 571254858

TMZZ zdobył tytuł Laureata w VI edycji konkursu zDolne NGO

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w 2019 roku:
VIII Złotoryjski Przegląd Kultury Kresowej, XVIII Powiatowy Dzień Regionalisty, XXII Rajd Jadwiżański, Spotkania poświęcone Powstaniom Śląskim i Wielkopolskiemu, Wydanie biblioteczki TMZZ t. XIII pt. „Inskrypcje złotoryjskie od XV- do połowy XX w.".

* OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ECHO ZŁOTORYI
* BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY
* KOŁO KRESOWIAN
* KOŁO KOLEKCJONERA
* RAJDY I SZLAKI PIESZE JADWIŻAŃSKIE ORAZ ŚW. JAKUBA

GALERIA SPONSORÓW

1686 PAŁAC KROTOSZYCE

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne BAZALT "Bazalt" SA w Wilkowie

LASY PAŃSTWOWE NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzetu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel.+48 768783 480, fax +48 76 8783 212

VITBIS
szklane bombki choinkowe

POAR Złotoryja

grysy bazaltowe
STONESPOL
* płukanki
* kolorowe
* posypki
* mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus"), www.tmzz.pl, e-mail: echozlotoryi@tmzz.pl

ECHO ZŁOTORYI

Redakcja: Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta), Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młyńczak, Bogusław Cetera (dystrybucja), Przemysław Markiewicz, Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Joanna Siembida, Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.
Zdjęcie na okładce: Daniel Kiewro - Makowe pole

Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok